

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

W tym tygodniu Rejsy pamiętają i świętują 99. urodziny Gdyni!

● Rozmawiamy o mieście, wspominamy jej historię i ważne postaci, odnotowujemy to, co ważne w kulturze

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80
LAT

Piątek
7.02.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 31 (24 392) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

Tadeusz Wenda
– człowiek, który
zbudował port
dla Rzeczypospolitej
str. 6-7



**Wspomnienie
o Emmie
Popik.** Odeszła
„królowa postapo”
str. 12

**Kiedy sokół
„stoi się” do lotu.**
Ptaki silne, waleczne
i potężne
str. 14



Magazyn Puls

**„Zetki” w pracy.
Instrukcja obsługi.**
Co trzeba wiedzieć,
aby zatrudnić
i utrzymać „Zetkę”
w pracy? **str. 24**

MAGAZYN PULS

**Trumpa pojedynek
w wadze ciężkiej**

– Donald Trump mówi: „Nie chcę już pilnować porządku, jestem najmocniejszy, będę się po prostu bić z innymi”. Świat jest przez to mniej bezpieczny. Czy to zachęci do bójki innych? Oczywiście. Mogą teraz myśleć: „Jak nie ma tego silniejszego, który dawniej pilnował porządku, to znajdę kogoś wystarczająco słabego, żeby mu przyłożyć” – mówi prof. Witold Orłowski, ekonomista, publicysta.

Czytaj str. 22-23

FELIETON NA FALI

**Pechowe Mevo,
pechowa Przeróbka**

A miało być już tak pięknie! Rower metropolitalny Mevo 2.0 dopiero co świętował pierwszy rok działania w metropolii Trójmiasta i szczylił się sukcesem. W ciągu roku wykonano na tych rowerach ponad 3 miliony podróży...

Czytaj str. 2

URODZINY GDYNI TO JESZCZE NIE STO LAT MIASTA Z MORZA I MARZEŃ, ALE PRAWIE...

Gdyńskie klimaty znane i nieznane



Gdynianie znają swoje miasto lepiej, niż można byłoby się tego spodziewać. Obserwując ich aktywność na różnych grupach internetowych (i nie tylko), widzimy, że są doskonałymi detektywami historycznymi, poszukującymi starych historii rodzinnych i miejskich legend. Rośnie kolejne pokolenie, które interesuje się historią miasta – mówi Michał Miegoń z Muzeum Miasta Gdyni, przewodnik Innych Szlaków **str. 4-5**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

A miało być już tak pięknie! Rower metropolitalny Mevo 2.0 dopiero co świętował pierwszy rok działania w metropolii Trójmiasta i szczylił się sukcesem. W ciągu roku wykonano na tych rowerach ponad 3 miliony podróży i przejechano ponad 10 milionów kilometrów. Choć te liczby wydają się nieco abstrakcyjne, to nie było łatwo je osiągnąć.

Przypomnijmy bowiem, że pierwsza odsłona Mevo 1.0 z roku 2019 zakończyła się spektakularną kląpą, która odbiła się szerokim echem. Eksperyment ze 100-procentową flotą rowerów elektrycznych wtedy się nie powiódł, ale przyczyn porażki było wiele: po pierwsze opóźnienia z uruchomieniem pełnej floty rowerów, które nie nadążały za rozbudowanym popytem, bardzo mała dostępność jednośladów, problemy z aplikacją mobilną, zbyt krótka żywotność baterii, zbyt niska cena abonamentu (10 zł za miesiąc), a w konsekwencji wszystkich tych problemów kary nałożone na operatora firmę Nextbike, za niewywiązanie się z umowy.

Na dodatek upadek pierwszego Mevo po siedmiu miesiącach, przypadł w fatalnym momencie. Bo kilka miesięcy później na polski rynek z impetem weszły inne pojazdy na minuty - elektryczne hulajnogi, skutery czy samochody Traficar. A jeszcze w Gdańsku uruchomiono darmową komunikację miejską dla młodzieży, a w Tczewie dla wszystkich.

Powrót Mevo na rynek, który w międzyczasie się zapenił, był więc bardzo trudny

FELIETON
NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”

PECHOWE
MEVO,
PECHOWA
PRZERÓBKA

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

i nikt nie wiedział czy ten powrót się powiedzie i czy mieszkańcy Trójmiasta ponownie zaufają Mevo. Okazało się jednak, że mieszkańcy pokochali czerwone rowery, a system w minionym roku funkcjonował bez zarzutu. No i trach! Jak

coś idzie za dobrze, to za chwilę się zawali. Wielki pożar w Gdańsku, który w środę wybuchł na Przeróbce, akurat dotknął halę, w której składowano 1500 rowerów Mevo! Jak nie urok to przemarsz wojsk, jak nie opóźnienia to pożar!

Bardzo mi przykro, że Mevo ma takiego pecha, bo kocham rower i kibicuję każdemu systemowi miejskich rowerów. Mam nadzieję, że gminy zrzeszone w Obszarze Metropolitalnym Gdańsk-Gdynia-Sopot, nie zostawią tak tej sprawy i wspomagają system, aby na wiosnę wystartował ponownie w pełnej flocie. Warto też się zastanowić, czy po wejściu w życie, długo oczekiwanej ustawy metropolitalnej dla Trójmiasta, pieniądze dzięki niej pozyskane, nie powinny w pierwszej kolejności pójść właśnie na zabezpieczenie rowerów Mevo, przed takimi zdarzeniami.

Rowery można jednak kupić nowe, ale szkoda mi też bardzo mieszkańców Przeróbki, Stogów i całej Wysp Portowej, dla których ten gigantyczny pożar to kolejny cios po zamknięciu Mostu Siennickiego. W ich przypadku też można powiedzieć, że jak nie opóźnienia, to pożar! Lokalne władze nie wywiązały się na czas z przygotowaniami do zamknięcia newralgicznego mostu w Gdańsku. Nie przygotowano na czas promu, przeprawy pontonowej, a nurkowie dopiero teraz sprawdzają czy zamykanie mostu dla pieszych i rowerzystów w ogóle było zasadne. Nie będę się nad tym długo rozpisywał, bo władze miasta krytykowane są za te opóźnienia już kolejny tydzień.

Można mieć tylko nadzieję, że wielki pożar na Przeróbce uświadomi decydentom, jak ważne jest szybkie skomunikowanie tej dzielnicy i przywrócenie jej mostu, bo mogło się to skończyć dużo większą tragedią. A do tego czasu Wyspa Portowa powinna być oczkiem w głowie władz miasta, pod specjalną ochroną.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

7°C
-3°CWiatr wsch.
20 km/hUwaga
Deszcz
i śnieg

Sobota

8°C
-3°CWiatr wsch.
20 km/hUwaga
Słonecznie

Niedziela

9°C
-3°CWiatr wsch.
13 km/hUwaga
Zachmurzenie
duże

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

- numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt
widać na fotografii?

Co piątek publikujemy jedno zdjęcie wykonane przez naszego fotoreportera Przema, jakie miejsce, lub jaki obiekt jest na nim uwieczniony.

Tym razem łatwo nie będzie (może być nawet dość błędnie), a rozwiązanie zagadki opublikujemy w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym facebooku. (AT)

KURSY WALUT

06.02.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	419/426 (+)	GBP	500/507 (+)
USD	402/409 (-)	CHF	445/452 (-)
GBP	500/507 (+)		
CHF	445/452 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	419/426 (+)
USD	402/409 (-)
GBP	500/507 (+)
CHF	445/452 (-)

(+/-) wzrost/cena w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY
„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: jacek.wiercinski@polskapress.pl

Jacek
Wierciński



FOT. PRZEMYSŁAW SWIDERSKI

Spłonęło 2,5 tysiąca metrów kwadratowych hali, w której na co dzień funkcjonowało wiele firm - straty sięgają wielu milionów złotych

GDAŃSK ZABYTKOWA HALA SPŁONĘŁA DOSZCZĘTNIE. ZNISZCZENIU ULEGŁO M.IN. 1500 ROWERÓW MEVO

Pytania o przyczyny pożaru na Przeróbce

Andrzej Kowalski
Gdańsk

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego sprawdzi, czy pożar hali na Przeróbce nie był efektem działań agentury obcego państwa.

Pożar, który wybuchł 5 lutego na gdańskiej Przeróbce, dotknął wiele firm, które korzystały z hal magazynowych przy ul. Siennickiej. Skutkami tego zdarzenia został dotknięty system roweru miejskiego MEVO.

Jeden z obiektów, należący do firmy Grupa Profit 2000 - Prolight, był wynajmowany przez CityBike Global, hiszpańskiego operatora systemu rowerów miejskich MEVO - informował Jarosław Maciejewski, główny specjalista ds. komunikacji Obszaru Metropolitalnego Gdańsk-Gdynia-Sopot. - W momencie wybuchu pożaru w hali znajdowało się około 1500 rowerów MEVO - dodaje.

Wczoraj było już wiadomo, że cały sprzęt - ponad 1300 rowerów ze wspomaganie elektrycznym, 162 rowery tradycyjne oraz 1000 akumulatorów - spłonęło w wyniku pożaru. Pojawiły się więc pytania dotyczące funkcjonowania systemu w najbliższym czasie.

Te rowery, które były w hali, były wycofane na zimę. 50 procent floty od grudnia do końca lutego było magazynowane, a na ulicach była druga połowa - mówi w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” Marcin Dybuk, zastępca dyrek-

tora ds. PR Obszaru Metropolitalnego Gdańsk-Gdynia-Sopot.

System na razie funkcjonuje więc tak, jak do tej pory. Jednocześnie, które spłonęły w trakcie pożaru, były magazynowane na okres zimowy. Ten się jednak już kończy i na horyzoncie pojawia się problem w postaci braku całej floty. Obecnie operator ma do dyspozycji 2800 rowerów.

Za trzy tygodnie, czyli od 1 marca, powinno być na ulicach 100 procent floty. Wiemy już dzisiaj, że tak nie będzie, bo jest to po prostu niemożliwe z powodu pożaru - mówi Marcin Dybuk. - W tej chwili trwają ustalenia planu naprawczego z operatorem. Hiszpańska firma (City Bike Global - przyp. red.) kontaktuje się z producentem rowerów Segway, żeby sprawdzić, jakie są zdolności fabryki i na kiedy ten sprzęt mógłby do nas dotrzeć. Hiszpanie robią wszystko, aby przywrócić 100 procent systemu najszybciej jak się da - podkreśla.

Tymczasem Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego sprawdzi, czy pożar hali na Przeróbce nie był efektem działań agentury obcego państwa. Lokalizacja mogłaby być idealnym celem dla takich akcji ze względu na swoje położenie w sąsiedztwie Portu Gdańsk i szlaków komunikacyjnych konwojów z zaopatrzeniem dla Ukrainy. Na razie jednak nie ma żadnego potwierdzenia co do takich działań. - Oczywiście, że nasi się tym już zajmują - mówi miejskiemu portalowi

gdansk.pl były oficer ABW. - Akt terroryzmu, inspirowany przez obce państwo? To realny scenariusz. Agencja jest ustawowo zobowiązana do rozpoznawania tego typu zagrożeń i zapobiegania im. O jakie państwo może chodzić? Można się domyślić, to nie jest takie trudne. Mają zasadę: im gorzej u sąsiadów, tym lepiej dla nas.

Powodów, dla których hala na gdańskiej Przeróbce mogłaby być celem takich działań, jest kilka. Wspomniane sąsiedztwo Portu Gdańsk to jeden z nich. Drugim jest poczucie zagrożenia, jakie zdarzenie mogło wywołać w gdańszczanach, a w to wliczają się też inne zdarzenia. Warto też przypomnieć także, że w Gdańsku mają miejsce spotkania dotyczące prezy-

dencji Polski w Unii Europejskiej. Nie bez znaczenia mają być również działania w mediach społecznościowych skoncentrowane na dezinformacji. - Uaktywniają się internetowe trolle, zadaniowane do siania zamętu i dezinformacji - mówi były oficer ABW w rozmowie z gdansk.pl. - Monitorujemy przebieg dyskusji w sieci, identyfikujemy prowodyrów i członków grup, które przy każdej takiej okazji się tworzą. Wśród nich są głównie „pożyteczni idioci”, ale też agenci wpływu.

Zespół biegłych ds. pożarnictwa przeanalizuje halę na Przeróbce w celu zweryfikowania, czy zdarzenie mogło mieć swoje źródło w działaniach obcej agentury. Zada-

niem ekspertów będzie także znalezienie punktów wspólnych z sytuacjami, w których udowodniono działanie sabotażystów. Takie akty dywersji odnotowało ABW na terenie Warszawy, Pruszkowa oraz województwa pomorskiego. Zatrzymano w tej sprawie podejrzanych - obywatela Polski i dwóch obywateli Białorusi - którzy według doniesień „Rzeczpospolitej” mieli stać za m.in. podpaleniem składu palet w Markach pod Warszawą i włoskiej restauracji w Gdyni.

Jacek Dobrzyński, rzecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, apeluje, by w związku z pożarem hali na Przeróbce nie podawać informacji, które nie są oficjalnie potwierdzone. „Gaśmy ten po-

żar medialny, gaśmy te dezinformacje teraz” - powiedział w rozmowie z TVP Info.

Zespół biegłych ds. pożarnictwa przystąpi teraz do analizy miejsca, w którym pojawił się ogień. Pracy będzie dużo, bowiem spłonęło 2,5 tys. mkw. hali, w której na co dzień funkcjonowało wiele firm, zgromadzone były ogromne ilości różnorodnych towarów i sprzętów. W akcji gaśniczej uczestniczyło w sumie ponad 80 wozów bojowych straży pożarnej i niemal 300 ratowników. Strażacy do akcji zaangażowali nawet robotę gaśniczego, którym dysponuje Komenda Wojewódzka Państwowej Straży Pożarnej w Gdańsku. Sprzęt wart jest ponad 1,5 mln zł.

Nie ukrywamy, że do takiej inwestycji zainspirowała nas akcja gaszenia pożaru katedry Notre Dame w Paryżu. Roboty te są dedykowane tego typu pożarom - wielkopowierzchniowym, żeby strażacy biorący udział w akcji nie ryzykowali. To urządzenie, które nie tylko gasi z dużą wydajnością, ale też przepycha przeszkody. Jest wyposażony także w kamerę - mówi rzecznik prasowy komendanta głównego PSP st. bryg. mgr inż. Karol Kierzkowski.

Wczoraj trwało jeszcze dogaszenie pożaru.

To duża powierzchnia, dużo elementów konstrukcyjnych, do których musimy dotrzeć, przerzucić i przelać wodą - informuje kpt. Jakub Friedenberg, rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego PSP.



FOT. PRZEMYSŁAW SWIDERSKI

Przyczyny i przebieg pożaru analizować będą eksperci

URODZINY GDYNI

O gdyńskiej kulturze i przyszłorocznych obchodach okrągłej rocznicy stu lat istnienia miasta rozmawiamy z Arkadiuszem Brzęczkiem, autorem książek poświęconych miastu z morza i marzeń: - Myślę, że potrzeba czasu, aby zaszyły większe zmiany. Daję szansę pani prezydent Aleksandrze Kosiorek. Tym bardziej, że dostrzegam pewien progres.
STR. 8-9



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

GDYNIA

Opowieść o człowieku, który zawsze służył Polsce
Właśnie ukazała się książka Dagmary Płazy-Opackiej i profesora Zbigniewa Opackiego „Tadeusz Wenda. Budowniczy portu Rzeczypospolitej” **STR. 6-7**

MICHAŁ MIEGOŃ: GDYNIE WARTO ZOBACZYĆ z zupełnie innej perspektywy

Ostatnie dwucyfrowe urodziny Gdyni są okazją do świętowania. Bo chociaż wielu z nas nie może się już doczekać okrągłej rocznicy - według zapowiedzi władz miasta ma być naprawdę huczna - to samo miasto kryje w sobie jeszcze wiele miejsc nieznanych szerzej gdynianom

Lukasz Kamasz

Z Michałem Miegoniem z Muzeum Miasta Gdyni oraz przewodnikiem Innych Szlaków rozmawiamy o tym, jak wyjść poza schemat zwiedzania i doświadczyć Gdyni w sposób nieoczywisty.

Czy gdynianie znają swoje miasto?

Gdynianie znają swoje miasto lepiej, niż można byłoby się tego spodziewać. Obserwując ich aktywność na róż-

nych grupach internetowych (i nie tylko), widzimy, że są doskonałymi detektywami historycznymi, poszukującymi starych historii rodzinnych i miejskich legend. Rośnie kolejne pokolenie, które interesuje się historią miasta. Być może mniej znają odległe rubieże Gdyni, czyli tereny graniczące z innymi miejscowościami czy miastami (Rumia, Sopot, Gdańsk), gdzie trzeba przebić się przez niekiedy gęste

krzaki albo tajemnicze werpety, aby dotrzeć do pozostałości dawnych wsi, które przetrwały się w dzielnice Gdyni.

I gdy pytają, które ciekawe miejsca w Gdyni odwiedzić - gdzie ich zabierasz?

Uwielbiam tropić historię i przekazywać dzieje tych mniej znanych gdyńskich dzielnic, które kojarzą się być może z charakterem przedmieść miasta albo z nowymi

osiedlami, tudzież po prostu z terenami leśnymi. To właśnie tam kryją się bardzo ciekawe historie związane z kaszubskimi korzeniami miasta, bo Gdynia to dawna rolnicza wieś kaszubska i mogę śmiało podpisać się pod stwierdzeniem, że również kaszubskie miasto. To chociażby mało znany, a bardzo urokliwy teren Wielkiego Kacka i zespół ruralistycznych zabudowań dawnej wsi, czyli ulica Źródło Marii, gdzie można przenieść

się w czasie do atmosfery początków XX wieku, a nawet XIX wieku. Tam w cieniu blokowisk mamy urokliwą i wybudowaną w charakterze kaszubskim dawną wieś. To również tereny, które leżą w bliskim sąsiedztwie komunikacji, czyli w okolicy dworca Gdynia Orłowo - ulica Spółdzielcza, która może przestraszyć swoją długością i rozległym terenem, który okrąża, biegnie ona przez cały teren między Orłowem a Małym

Kackiem. Natomiast tam leżą zabudowania dawnej Kolonii Kolibki i piękny punkt widokowy Góra Krzyżowa, niegdyś ważne miejsce na szlaku pomiędzy Katedrą Oliwską a Kalwarią Wejherowską. Znajdziemy tam zabudowania po dawnej niemieckiej baterii, jak i również poukrywane w lesie ścieżki prowadzące do stawów, leżących na terenie dawnej owczarni rodziny Brauchitsch, czyli dawnych właścicieli pałacu w Małym Kacku. Na uroczych zboczach znajdowało się szybowisko, a w okresie powojennym portowa świnia. Takich nieoczywistych miejsc oczywiście jest znacznie więcej.

W jakim stanie zachowane są pamiątki po wiejskości i kaszubskości Gdyni?

Przede wszystkim jest to architektura. Budynki murowane z charakterystycznymi elementami, czyli np. „erle”: ozdobne cegły położone pod kątem pomiędzy partem a pierwszym piętrem budynku, które są tutaj dla północnych Kaszub bardzo charakterystycznym elementem. To również budynki, które są wybudowane metodą szachulcową, czyli potężne bale drewna przekładane nie tylko ceglami, ale często gliną oraz piaskiem i innym budulcem. Pozostałości po budynkach tego typu można napotkać chociażby w okolicy ul. Suchej w dzielnicy Chwarzno-Wiczlino, gdzie jeszcze ostatnia szachulcowa ściana zachowała się w jednej z takich kaszubskich posiadłości, czy przy Akademii Marynarki Wo-



FOT. JAKUB STEINBORNI

Na przestrzeni lat Gdynia się zmienia, ale jej specyficzna i nawiązująca do modernistycznego klimatu architektura sprawia, że miasto ma swoich zagorzałych wielbicieli, którzy właśnie tu znaleźli swoje miejsce na ziemi

jennej w dzielnicy Oksywie. To często widoczne w pejzażu miasta kapliczki, niegdyś stały na rozstaju polnych dróg, które przerodziły się w potężne miejskie arterie drogowe. Jako przykład można podać kapliczkę św. Jana Nepomucena, która znajduje się przy dworcu SKM Gdynia Wzgórze św. Maksymiliana. Niegdyś stała w miejscu, gdzie Szosa Gdańska - obecnie al. Zwycięstwa, dalej ulica Śląska i Morska, pod łagodnym kątem zmierzała w kierunku późniejszych Działek Leśnych. Kapliczka obecnie, jakby wyrwana z kontekstu, stoi pomiędzy drzewami i krzewami przy ruchliwej drodze, będąc właśnie świadectwem tego, jak kiedyś ta dawna Gdynia wyglądała, tak jak i kapliczki z dzielnicy Karwiny.

Jeżeli chodzi o kaszubskość, są nią również legendy przekazywane od pokoleń - historie o kaszubskich demonach. Bo Kaszubi też mieli swoją demonologię. Duchy jak południca czy rzana baba - te historie można usłyszeć od wielopokoleniowych rodzin kaszubskich, które zamieszkują różne dzielnice Gdyni. Opowieści o nich nigdy nie zagięły, chociażby duch południca, który grasował na polach w okolicy Pustek Cisowskich, bo tam od jednej z rodzin tę historię właśnie usłyszałem i później też opisałem w jednym z artykułów.

Napisałeś kiedyś, że Gdynia ma swoją mitologię.

Tak, Gdynia ma zdecydowanie barwną mitologię, ponieważ jest to mitologia nie tylko związana z tymi najdawniejszymi korzeniami miasta i jego dzielnic, ale to również mitologia współczesna. Popularnością cieszą się chociażby spacer tematyczne związane z legendami miejskimi, czyli np. historią upadku tajemniczego obiektu do basenu portowego, o którym niektórzy mówią, żeby było to UFO, czy nawiedzonych domów, z których najsłynniejszy znajduje się w dzielnicy Wzgórze św. Maksymiliana, a drugi nieopodal na Kamiennej Górze. To współczesna miejska mitologia. Gdzieś na pograniczu magii życia codziennego, ale właśnie też spraw nieoczywistych. To jest temat, który fascynuje mieszkanki i mieszkańców Gdyni. Na takich wycieczkach zawsze są tłumy. Często gdynianie sami opowiadają jakąś historię, którą usłyszeli lub - tutaj mogą się zjeżyć włosy na głowie - przeżyli.

Hitem były spacer po Karwinach.

Przez ostatnie lata przemierzaliśmy współczesne blokowe osiedle, tak jak niektórzy określają tę dzielnicę.

A Karwiny z kolei i całe nowe osiedle, leży na terenie dawnych łąk, pastwisk, gdzie wypasano bydło. Słowo „karwia” właśnie to pastwisko. Ślady rolniczych Karwin możemy dostrzec na pograniczu z Małym Kackiem. Wytrawne oko może wypatrzeć nawet zwierzęta wiejskie, w okolicach ulicy Ornej oraz Strzelców. Karwiny to jednak nie tylko pastwiska, bo tam, gdzie teren był odludny, grzebano ludzi. Na Karwinach istnieje zachowany cmentarz choleryczny, tzw. Jasińskie Chojny. I to wszystko pomiędzy potężnymi wieżowcami i blokami z lat 70.

Wspomniałeś też o Chwarznie-Wiczlinie, to młoda dzielnica Gdyni, która jednak ma swoją własną unikalną historię.

Chwarzno-Wiczlino to obecnie jedna dzielnica, ale dawniej były to dwa miejsca z odrębną historią, chociaż wspólnym motywem, czyli rolniczym charakterem. Wiadomo, że osadnictwo na Chwarznie-Wiczlinie istniało już przed naszą erą. Natomiast rozkwit Wiczlina i Chwarzna nastąpił w XIX i XX wieku. Wtedy na Chwarznie powstała gorzelnia i folwark, a Wiczlino stało się prężną i dobrze rozbudowaną wsią - zbudowano tam szkołę i powstała ochotnicza straż pożarna. Samo Wiczlino intryguje najbardziej tak zwanymi pustkami, czyli wybudowaniami pośród terenów oddalonych komunikacyjnie. Dawnych pustek, czyli tych pojedynczych gospodarstw pozostało co nieco. Takie nazwy jak Niemotowo czy Zieleńsz, obecnie nazwy osiedli, to właśnie tereny dawnych pustek. A tam, gdzie pustki, tam też lokalne mitologie, bo na Wiczlinie, jeszcze kilkadziesiąt lat temu, mieszkała ponoć ostatnia gdyńska czarownica, jak to mówią. Pozostałości jej budynku nadal można gdzieś pośród tych przepastnych rewirów zobaczyć - przy ul. Suchej.

Świadkami gdyńskiej historii są również świątynie.

Jeżeli chodzi o obiekty sakralne na terenie miasta, to sama Gdynia jako wieś posiada bardzo młody kościół - bazylikę pw. NMP Królowej Polski z początku lat 20. ubiegłego wieku. Zgoła ciekawszą historię mamy w gdyńskich dzielnicach, jeżeli chodzi o te najdawniejsze dzieje. Mamy jeden z najstarszych kościołów w województwie pomorskim, czyli kościół pw. św. Michała Archanioła. Powstał on już w XIII wieku, w 1224 roku. Nadal zresztą część kościoła posiada widoczne stare cegły. Kolejnym kościołem jest czternastowieczna świątynia pw. św. Mikołaja w Chyloni. Mamy w Gdyni średnio-



Gdyński modernizm - symbol architektoniczny miasta. Nie brakuje obiektów wręcz emblematycznych dla tego klimatu i ducha miasta z marzeń i morza



Na gdyńskim szlaku architektonicznym obiekty sakralne sąsiadują z budynkami modernistycznymi i współczesnymi osiedlami



„Dar Pomorza”, historyczna fregata szkoleniowa, dziś statek muzeum, nierozzerwalnie związany i kojarzony jest z Gdynią i jej morską tradycją

wieczne korzenie, jeżeli chodzi o świątynie, i mamy czym się pochwalić na szlaku architektury sakralnej. To wszystko wiąże się z samymi początkami Gdyni i jej dzielnic, bo pierwsza wzmianka o Gdyni pochodzi z 1253 roku i wówczas część terenów w granicach współczesnego miasta posiadał Zakon Cystersów z Oliwy, a część Siostry Norbertanki z Żukowa. Tam, gdzie pojawiali się właściciele związani z zakonami, tam też lokowano nowe wsie, a w ich centrum stawał się kościół. Warto również wyróżnić młodszy, ale piękny obiekt sakralny na szlaku wsi Wielki Kack, czyli kościół pw. św. Wawrzyńca ze starym cmentarzem, gdzie można zobaczyć wiele nazwisk kaszubskich z okolic nie tylko Wielkiego Kacka, ale i wsi Dąbrowa czy wspomnianego Chwarzna i Wiczlina.

A co możemy zobaczyć na północy Gdyni?

Ta część miasta posiada chyba najbardziej malownicze miejsce z widokiem na miasto oraz naturę, czyli dawne łąki chyłońskie. To torfowiska, w których miejscu powstał gdyński port wewnętrzny. Przy terenach industrialnych znajduje się droga wewnętrzna elektrociepłowni, która używana jest również jako droga rowerowa. Stamtąd można dostać się na łąki, które są pełne niewielkich kanałów i rowów melioracyjnych. Poprzez nie przepływa odnoga Potoku Cisowskiego i Chyłońskiego, czyli kanał Konitop. Latem jest to miejsce, z którego możemy wyruszyć nie tylko do Gdyni Północ, ale też na piechotę do wsi Kazimierz, Kosakowa czy Rumi. To potężny teren, gdzie można spotkać się z dziką naturą. Łąki chyłońskie pokazują nam, jak dawniej wyglądała Gdynia aż po wybrzeże morskie. Ostatni fragment takich torfowisk znajduje się w Śródmieściu, na tyłach budynku Urzędu Morskiego w Gdyni, za urokliwym budynkiem znanymi pod nazwą Krzywik. Znajdziemy tam potężne, ponad stuletnie drzewa, bagienne tereny - to wszystko pomiędzy Międzytorzem a terenami portu. Możemy przemieścić się tam w czasie, do gdyńskiej dżungli, która istniała przedtem, kiedy bagna rozdzielały Oksywie od Gdyni. Warto również wybrać się na szczyt ul. Platynowej w dzielnicy Pogórze. Stamtąd mamy na wyciągnięcie ręki widok aż po Witomino, a nawet wieżę w Chwaszczynie. Cała Gdynia w zasięgu wzroku. Tutaj warto wybrać się autobusem i pokonać te wysokie schody, aby zobaczyć Gdynię z zupełnie innej perspektywy niż na Kamiennej Górze.



Inżynier Tadeusz Wenda z grupą pracowników Portu w Wielkiej Wsi (obecnie Władysławowo)



Tadeusz Wenda z synem Januszem (po lewej) na plaży, lata 30-te XX wieku. Fotografia pochodzi ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

TADEUSZ WENDA: Dla Polski ten port buduję

Właśnie ukazała się książka Dagmary Płazy - Opackiej i profesora Zbigniewa Opackiego „Tadeusz Wenda budowniczy portu Rzeczypospolitej”

Grażyna Antoniewicz

W 1920 roku Polska po latach zaborów i braku własnej państwowości wróciła nad Bałtyk. Nie wielki skrawek uzyskanego wybrzeża nie posiadał portu, który by odpowiadał potrzebom odradzającego się państwa polskiego. Brakowało przede wszystkim bazy dla budowanej od podstaw Polskiej Marynarki Wojennej. Początkowo uważano, że utworzone mocą Traktatu Wersalskiego Wolne Miasto Gdańsk wraz z portem stanowić będzie port Rzeczypospolitej.

Tadeusz Wenda przyjechał na Wybrzeże w kwietniu 1920 roku - opowiadają autorzy książki, Zbigniew Opacki i Dagmara Płaza - Opacka. - Przybył do Gdańska z polecenia Ministra Robót Publicznych, w porozumieniu z admirałem K. Porębskim, szefem Departamentu Spraw Morskich Ministerstwa Spraw Wojskowych. Celem przyjazdu było rozważenie możliwości rozbudowy portu gdańskiego na potrzeby polskiej gospodarki. W maju

zjawił się ponownie aby ocenić stan techniczny zabezpieczenia polskiego wybrzeża przed zniszczeniami, skonkretyzować lokalizację tymczasowego portu wojennego oraz przeprowadzić dalsze badania w porcie gdańskim. Efektem wizyty był raport przedłożony 20 czerwca 1920 r. admirałowi Porębskiemu, w którym jednoznacznie wskazał lokalizację przyszłego portu wojennego w pobliżu wsi Gdynia, u ujścia potoku chyłońskiego.

Tymczasowy Port Wojenny

Jesienią 1920 roku rząd polski podjął decyzję o budowie Tymczasowego Portu Wojennego i Schroniska dla Rybaków w Gdyni. Zadanie jego zaprojektowania i budowę powierzono inż. Tadeuszowi Wendzie.

- Nie był to człowiek znikąd - twierdzą autorzy biografii. - Urodzony w Warszawie, w rodzinie inteligentnej, o tradycjach patriotycznych, tu ukończył rosyjskie gimnazjum a następnie rozpoczął studia

na stołecznym Cesarskim Uniwersytecie. Po dwóch latach studiów przeniósł się na Petersburski Uniwersytet, a po roku na jedyny w imperium rosyjskim Instytut Inżynierów Komunikacji. Była to elitarna wyższa szkoła techniczna, w której wykładali oraz studiowali między innymi Polacy. Wśród około tysiąca polskich absolwentów tego Instytutu był również Tadeusz Wenda. Po ukończeniu studiów w 1890 roku, przez 25 lat pracował jako budowniczy dróg żelaznych (kolei) oraz przy modernizacji portów rosyjskich nad Bałtykiem (Winda i Rewel, obecnie Tallin). Można powiedzieć, że zdobył wówczas ogromne doświadczenie.

Dobra wróżba

Już 29 maja 1921 roku, w nieznanym wówczas niemal nikomu niewielkiej wsi Gdynia, odbyła się uroczystość poświęcenia budowy portu wówczas widzianego, jako skromną, o drewnianej konstrukcji przystań dla floty wojennej, statków handlowych oraz łodzi rybackich.

CV



Tadeusz Wenda
Budowniczy portu
Rzeczypospolitej

„Dnia 13 sierpnia 1923 r. przybił do mola gdyńskiego pierwszy oceaniczny statek Kentucky, o pojemności 6614 t. rej. brutto, jadący pod banderą francuską, a należący do Compagnie Général Transatlantique, który nie mógł wyładować towaru w porcie gdańskim z powodu strajku. Była to dobra wróżba na przyszłość i miła niespodzianka dla Gdyni. Od tego czasu francuskie Towarzystwo Okrętowe stale kierowało do Gdyni swoje statki z Hawru - wspominał tamte dni inżynier Wenda w publikacji „Dzieje budowy portu gdyńskiego”.

- Po ukończeniu budowy portu tymczasowego, rozpoczęła się kolejna faza, budowa portu handlowego - opowiada profesor Zbigniew Opacki. - Naczelnikiem budowy mianowany został Tadeusz Wenda.

Wakacyjne wojaże

Tadeusz Wenda ożenił się późno, miał już wtedy 48 lat, był to rok 1911. Zukończoną Ha-

liną Zawidzką (młodsza o 25 lat), miał troje dzieci: córkę Marię i synów Janusza oraz młodszego Jerzego. Żona z dziećmi mieszkała w Warszawie, Tadeusz Wenda w Gdyni, ale odwiedzał rodzinę zawsze podczas pobytów służbowych w Warszawie.

Dbał o rozwój dzieci, kupowano im książki, prenumerowano dla nich prasę. Ojca i najstarszego syna łączyła wspólna pasja fotograficzna. Kupił mu aparat fotograficzny i syn szybko opanował umiejętność robienia dobrych zdjęć.

Latем żona z dziećmi i opiekunką najmłodszego syna przyjeżdżała do Gdyni. Wyjazdy do lasu, pobyty na plaży, gdzie pływano na łódkach i kąpano się w morzu sprawiały rodzinie sporo radości.

„Zazwyczaj Wenda przyjeżdżał kilka dni wcześniej do Warszawy. Robiono wtedy zakupy wakacyjne i po ich spakowaniu - pod koniec lat 20. XX wieku tramwajem i w latach 30. dwiema taksówkami - wyjeżdżano na dworzec Warszawa Główna i pociągiem nocnym przemieszczano się do Gdyni. Na dworcu zazwyczaj przyjeżdżał rodziny inżyniera oczekiwał pan Franciszek z autem portowym, którym przewożono bagaże, rodziców oraz małego Jerzego.

Młodzi, niania, ewentualnie służąca, czasami babcia Zawidzka spacerem szli do obszernego mieszkania w willi „Marysieńka”, potem na ul. Nadbrzeżną (Jerzego Waszyngtona)” - oto fragment książki.

Tadeusz Wenda lubił pływać. Kochał morze i chętnie spędzał wolny czas pod żaglami, dlatego na długo przed przyjazdem do Gdyni założył z innymi działaczami Stowarzyszenie Pracowników

na Polu Rozwoju Żeglugi „Bandra Polska” z siedzibą w Warszawie.

Preferans z proboszczem

Małżonkowie często pisali ze sobą, część tej korespondencji zachowała się, w większości są to listy Tadeusza Wendy i dzieci, mniej jest listów żony.

Początkowo w 1920 roku inżynier mieszkał w domu rybackim, w pobliżu baraku, w którym mieściło się Biuro Budowy Portu.

Następnie na piętrze budynku należącego do Feliksa Kohnke, przy skrzyżowaniu ulic Kuracyjnej (10 Lutego) i późniejszej Świętojańskiej. Zajmował dwa pokoje, był tam do czasu wybudowania gmachu Biura Budowy Portu w 1929 roku, gdzie mieszkał do przejścia na emeryturę w 1937 roku.

Inżynier Wenda był w Gdyni postacią znaną. Poza pracą prowadził życie skromne, nie brylował w towarzystwie.

Rozrywką, którą uznawał była karciana gra w preferansa u proboszcza z Oksywii, księdza Franciszka Łowickiego. Był członkiem komitetu budowy Pomnika Zjednoczenia Ziemi Polskich, działał też w organizacjach sportowych i Towarzystwie Francusko-Polskim.

- Był mężczyzną niewysokim, o ciemnych włosach, posrebrzonych na skroniach, z wąsami. Nosił się elegancko, trochę w staroświecki sposób, raczej bez ekstrawagancji - opowiada Dagmara Płaza - Opacka.

- Miał garnitury jasne i ciemne, koszule z wysokimi kołnierzykami, latem nosił panamę, wiosną i jesienią filcowe borsalino z miękką główką i szerokim rondem. Spacerował po mieście z elegancką, cienką

laską ze srebrnym okuciem. Kiedy szedł do pracy lub chodził po porcie, sprawdzając postępy prac, posługiwał się zwykłą laską drewnianą.

We wspomnieniach osób, które go znały, lub z nim pracowały, zachowały się opinie, że był powszechnie szanowany. Uznawano jego wiedzę i doświadczenie. Inżynier Stanisław Hueckej w swej książce pisał, że miał on stałe zwyczaje, przychodząc do pracy witał się z pracownikami przez podanie ręki, pytał nad czym w tym dniu pracują lub przydzielał zadania.

Był uprzejmy w kontaktach z ludźmi. Miał też zwyczaj codziennie robić obchód prac w porcie. Może nie po całych terenach ale na tych gdzie działy się rzeczy ważne - opowiada autorzy.

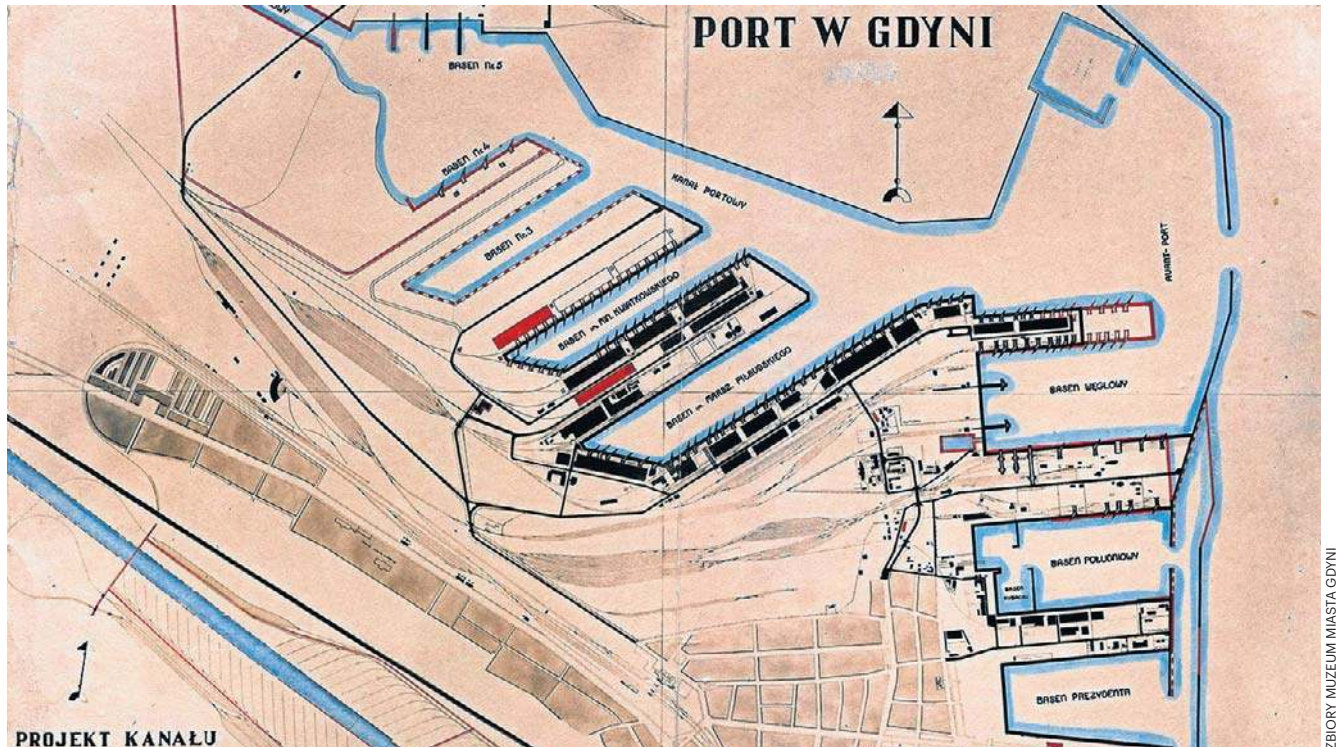
Pomnik budowniczego

W zbiorach Muzeum Miasta Gdyni pamiątki po Tadeuszu Wendzie zajmują ważne

miejsce. Jedną z nich jest faksymile, czyli pieczęć z dokładną kopią podpisu, którą posługiwał się inżynier w latach trzydziestych podczas pracy w Biurze Budowy Portu. W zbiorach jest jeszcze inna niezwykła pamiątka po tym wybitnym projektancie i budowniczym gdyńskiego portu. To pudełko po pierścionku zaręczynowym Haliny Wendy.

Tadeusz Wenda stworzył dzieło, które pozwoliło na rozwój gospodarczy kraju oraz rozwinięcie żeglugi i handlu zamorskiego. Realizacji tego zadania poświęcił 17 lat pracy. W stulecie rozpoczęcia prac przy budowie portu w Gdyni, 29 maja 2021 roku, na Molo Rybackim, nastąpiło odsłonięcie pomnika Tadeusza Wendy. Tak uhonorowany został człowiek, dla którego praca dla Polski była obowiązkiem i zaszczytem, człowieka który zwykł był mawiać: „Dla Polski ten port buduję”.

©P



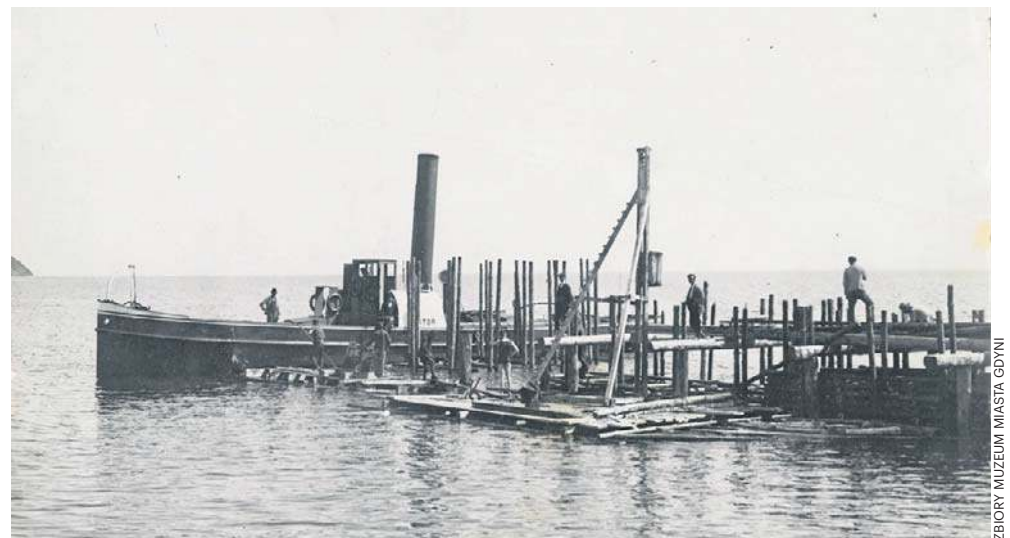
PROJEKT KANAŁU

Plan portu w Gdyni - Tadeusz Wenda stworzył dzieło, które pozwoliło na rozwój gospodarczy kraju oraz rozwinięcie żeglugi i handlu zamorskiego

ZBIORY MUZEUM MIASTA GDYNI



Walizka podróżna Wendy. Zazwyczaj przyjeżdżał kilka dni wcześniej do Warszawy. Robiono wtedy zakupy i po ich spakowaniu wyjeżdżano pociągiem nocnym do Gdyni



Wbijanie pali pod budowę portu tymczasowego w Gdyni - inż. Tadeusz Wenda na holowniku „Kastor” nadzoruje pracę

ZBIORY MUZEUM MIASTA GDYNI

ZBIORY MUZEUM MIASTA GDYNI

REKLAMA

0011262773

Zapraszamy na Rodzinne

PLANSZÓWKI

W CH AUCHAN GDAŃSK, UL. SZCZĘŚLIWA 3

8
lutego 2025 r.
sobota
w godz. 12-15
vis a vis
ZOO Karina

- stanowisko z grami planszowymi ● gry bitewne WAR HAMER 40 000 oraz BOLT ACTION ● specjalne stanowisko z klockami LEGO I DUPLO
- malowanie buziek i zmywalne tatuaże ● kącik malucha z kolorowankami i puzzlami ● upominki dla uczestników od CH Auchan Gdańsk

PARTNER GŁÓWNY



PARTNER MERYTORYCZNY



ORGANIZATOR



DZIENNIK
BAŁTYCKI.PL

Prawa miejskie Gdynia uzyskała 4 marca, czy 10 lutego 1926 roku? Skąd ta rozbieżność?

Ponieważ mówi się, że 10 lutego to wójt Jan Radtke miał urodziny. Tak naprawdę, to Rada Ministrów wydała tego dnia rozporządzenie, że od 4 marca 1926 r. wieś Gdynia prawa miejskie otrzymuje.

Jest pan jednym z członków Komitetu Obywatelskiego obchodów 100-lecia Gdyni...

Tak, zostałem zaproszony do Komitetu przez panią prezydent, choć byłem też w tym gremium i za poprzedniego prezydenta miasta, Wojciecha Szczurka. Uczestniczę w życiu kulturalnym Gdyni i jednocześnie je kreuję poprzez organizowanie rozmaitych działań. Jestem autorem książek o Gdyni, a także jednym z kuratorów edycji festiwalu Open House Gdynia. Przede wszystkim zajmuję się gdyńskim modernizmem, organizuję spacer po mieście, uwielbiam pokazywać ludziom architekturę Gdyni, bo jest czym się chwalić.

Czy ostatnie wybory samorządowe zmieniły coś w gdyńskiej kulturze?

Myszę, że potrzeba czasu, aby zaszły większe zmiany. Daję szansę pani prezydent Aleksandrze Kosiorek. Tym bardziej, że dostrzegam, pewien progres. Jedną z pozytywnych zmian, która mnie cieszy jest ogłoszenie konkursów na stanowiska kierownicze w miejskich instytucjach kultury - trwa postępowanie konkursowe na stanowiska kierownicze w Teatrze Miejskim, w Teatrze Muzycznym, Muzeum Miasta Gdyni i Konsulacie Kultury.

Konkursy to nowość?

Do tej pory w miejskich instytucjach kulturalnych, gdy po konkursie kończyła się kadencja, to czasem jakby „z automatu” ta sama osoba obejmowała dalej to stanowisko. Osobiście uważam, że konkursy są bardzo dobrym, demokratycznym narzędziem i dzięki nim jest szansa, że wybrany zostanie najlepszy kandydat lub kandydatka, którzy przychodzą z nowymi pomysłami i dobrym programem.

Co jest, pańskim zdaniem, wizytówką Gdyni?

Dla mnie to przede wszystkim gdyński modernizm. Mam wielką nadzieję, że już wkrótce modernistyczne Śródmieście Gdyni zostanie wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. To jest zdecydowanie znak firmowy mojego miasta. Oczywiście mamy również Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, nagrodę Literacką Gdynia, największy w Polsce i jeden z większych w Europie mu-

GDYŃSKIE URODZINY

O gdyńskiej kulturze i przyszłorocznych obchodach okrągłej rocznicy stu lat istnienia miasta, rozmawiamy z Arkadiuszem Brzęczkiem, autorem książek poświęconych miastu z morza i marzeń

Aleksandra Trzaska



Arkadiusz Brzęczek: Uczestniczę w życiu kulturalnym Gdyni i jednocześnie je kreuję poprzez organizowanie rozmaitych działań. Jestem autorem książek o Gdyni, a także jednym z kuratorów edycji festiwalu Open House Gdynia

zyczny Open'er Festival. Od dziesięciu lat odbywał się tutaj świetny festiwal Open House Gdynia poświęcony ludziom i architekturze. Dzięki tym imprezom Gdynia przyciąga wielu turystów i mieszkańców całego Trójmiasta. Dzięki świetnej architekturze, przy tysiącletnim Gdańsku i sopockim kurorcie Gdynia jest postrzegana jako nowoczesne miasto. Bardzo się cieszę, że z okazji 99-lecia Gdyni w tym roku medal im. Euge-

nusza Kwiatkowskiego zostanie przyznany Marii Jolancie Sołtysik, profesorce Politechniki Gdańskiej, architektce

i historyczce architektury, która związana jest z Gdynią od wielu lat. Ważny też dla mnie jest nowy Obywatel Ho-

norowy Miasta Gdyni, profesor Norman Davies.

Czy uważa pan, że infrastruktura kulturalna Gdyni jest wykorzystana? Czy oferta Konsulatu Kultury, Teatru Miejskiego, Teatru Muzycznego czy Muzeum Emigracji jest wystarczająca?

Oczywiście, że mogłoby się dziać więcej. Ale musimy uwzględnić fakt, że każda działalność jest uzależniona od pieniędzy. Nie jest tajem-

nicą, że kultura jest niedofinansowana. Poza tym na przykład Muzeum Emigracji organizuje wiele interesujących wydarzeń. Już sama wystawa stała jest interesująca. To jedyne muzeum poświęcone historii exodusu ludności polskiej za granicę - osobiste historie ludzi porzucających wszystko i wyjeżdżających w poszukiwaniu lepszego, a może innego życia. Tu powstała olbrzymia replika Batorego w skali 1 do 10, która pewnie mogłaby zostać nawet zwodowana, choć waży cztery tony. Wystawa naprawdę jest dobra. Także w Muzeum Miasta Gdyni można prawdziwie dotknąć niezwykle piękna naszego miasta. Już nie wspomnę o bogatym archiwum, z którego warto skorzystać. Z kolei różnorodność i ilość wydarzeń w Konsulacie Kultury wręcz oszałamia. Uważam, że jest w czym wybierać.

Zanim Gdynia będzie świętować w przyszłym roku setne urodziny, przed nami obchody 99-lecia istnienia miasta. Jakie atrakcje miasto przygotowało dla Gdynian i mieszkańców Trójmiasta?

Obchody będą trwały cztery dni - od piątku 7 lutego, do poniedziałku 10 lutego, z uroczystą sesją Rady Miasta. Przygotowano też imprezy dla seniorów i najmłodszych. Będzie bieg urodzinowy, a już zgłosiło się kilka tysięcy ludzi, by przebiec 10 kilometrów. Rozpocznie się symbolicznie od premiery książki Aleksandry Boćkowskiej „Gdynia. Pierwsza w Polsce” w piątek w Muzeum Miasta Gdyni. To zresztą nie jest jedyna impreza zaplanowana na urodzinowy weekend w MMG. Z tego, co wiem to czekają nas wykłady i oprowadzania kuratorskie po wystawach. Podobne atrakcje przygotowało Muzeum Emigracji oraz Muzeum Marynarki Wojennej. W sobotę w Polsat Plus Arenie Gdynia wiele ciekawych zajęć i spotkań przygotowane dla seniorów. Z tego co wiem, będą mogli skorzystać z konsultacji lekarskich, dietetycznych czy pielęgnarskich. Będzie też coś dla duszy, spektakl Teatru Czwarte Miasto pt. „99 lat gdyńskiej muzyki”. A w niedzielę w hali zorganizowano mnóstwo zajęć dla dzieci - kino, warsztaty, zabawy, zajęcia plastyczne, a także spektakl dla dzieci na podstawie bajki Jana Brzechwy. Całą masę atrakcji dla najmłodszych przygotowało również Centrum Nauki Experiment i Konsulat Kultury. Warto zajrzeć na strony internetowe instytucji, będą i bajki i warsztaty naukowe dla całej rodziny.

Jest pan jednym z przewodników, organizuje pan spacer

tematyczne po mieście. Czy z okazji urodzin Gdyni przygotował pan coś specjalnego?

W tym roku na 99 lecie serię ciekawych spacerów przygotowali zacięci przewodnicy PTTK. Ja szykuję się na porcję autorskich przechadzek po dzielnicach, już w związku ze stuleciem miasta. To będzie naprawdę wielką porcją nowych informacji o Gdyni... też sekretów, tajemnic i skandali. Tutaj skończę zapowiedź. Reszta na trasie Gdynia 2026.

A gdyńska drużyna piłkarska również włącza się w obchody? Chyba nie zawiedzie kibiców?

Oczywiście, że nie! W piątek 14 lutego Arka Gdynia zagra mecz z Polonią Warszawa.

Znane są już plany na obchody 100-lecia Gdyni w 2026 roku?

Niektóre plany są, nawet już realizowane, choć najpierw były zgłaszane pomysły - niektóre „kosmiczne” - no i trwają konsultacje społeczne z mieszkańcami. Słyszałem, że jest w planach zorganizowanie Stołu Urodzinowego - najdłuższego stołu w historii, od Dworca Głównego PKP, przez ul. 10 Lutego, do końca Mola Południowego. Jestem pewny, że obchody będą niezwykle. Z naszych rozmów w Komitecie wynika,

że w organizację chce się zaangażować wiele instytucji, społeczników, organizacji pozarządowych i prywatne osoby - a zatem włączą się również sami mieszkańcy. Niektórzy gdynianie przygotowują swoje własne świętowanie, inicjatywy całkowicie prywatne, a z tego co słyszę... szalone i wspaniałe, czyli gdyńskie.

Władze miasta zwiększyły pulę środków pieniężnych w ramach Budżetu Obywatelskiego, zaczynamy mówić o konkretnych, ale nie mogę jeszcze zdradzić wszystkich pomysłów. Niech wyjdzie tylko jedna trzecia tych propozycji, a stulecie Gdyni będzie niezwykłym wydarzeniem. - dla dzisiejszych mieszkańców, dla dawnych gdynian przybywających z różnych stron i dla wszystkich tych, których Gdynia ciekawi i dlatego do niej przyjeżdżają oraz dla tych, którzy po prostu są w niej zakochani.

Arkadiusz Brzęczek

Wielki pasjonat Gdyni, który swoimi prezentacjami i spacerami przybliża piękno i wyjątkowość swojego miasta. Otwiera zamknięte przestrzenie kamienic i podziemi, także w ramach festiwalu Open House Gdynia, gdzie od 10 lat działa jako kurator. Jest autorem czteroczęścio-



Gdynia rozwija się i rozbudowuje. W ostatnich latach zyskała m.in. nową marinę, wcześniej zbudowano kolejny architektoniczny symbol miasta - wysokościowiec Sea Towers

wego cyklu książek o sekretach gdyńskich kamienic oraz przewodnika po śródmieściu Gdyni. Ostatnio aktywnie działa w stowarzyszeniu Zabytkowa Gdynia oraz w obywatelskim Komitecie obchodów 100-lecia Gdyni w 2026 roku. W przygotowaniu jest jego książka o Kamiennej Górze. W trzecim pokoleniu gdynianin, urodzony w rodzinnym domu przy ul. Abrahama. Znany jest jako miłośnik swego miasta, znawca jego architektury i odkrywca wielu gdyńskich tajemnic.



Symbolem Gdyni jest modernistyczna architektura

REKLAMA

0011255241



Uzdrowisko Inowrocław

150 lat tradycji

Zimą postaw na zdrowie Turnusy lecznicze



Zakwaterowanie



Śniadania i kolacje w bufecie szwedzkim, obiady serwowane do stolika



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna)



voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl

JESZCZE TROCHĘ CZASU NA ŻYCIE

– Mimo że polski model opieki onkologicznej dla pacjentek z rakiem piersi należy do najlepszych w Europie, to wciąż chore kobiety muszą walczyć o nowoczesne leki, by pokonać chorobę i ocalić życie – twierdzi Justyna Dec, prezes Fundacji Oko w Oko z Rakiem

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Nigdy nie myślałam, że w tym wieku będę walczyć o przetrwanie i o życie – mówi Dagmara Szymańska, 34-latką, mama czteroletniej Antosi. – Oddałabym wszystko, by zobaczyć jeszcze, jak moja mała córeczka idzie do pierwszej klasy.

Dwa i pół roku temu wykryto u Dagmary raka piersi. To tzw. potrójnie ujemny rak piersi, jeden z bardziej agresywnych, którego możliwości leczenia są ograniczone. Najpierw wycięto jej guz, zrobiono mastektomię, a potem poddano sześciomiesięcznej chemioterapii. Po czterech miesiącach od zakończenia leczenia okazało się, że pojawiły się przerzuty do płuc.

– I tak zostałam pacjentką paliatywną, czyli taką, której nie da się wyleczyć – wspomina Dagmara. – Jeśli nie da się raka wyleczyć, to może da się wydłużyć życie? Bardzo chciałam w to uwierzyć, by nie stracić nadziei. Marzyłam, że jestem zdrowa i że moja rodzina jest normalna.

Miała szczęście

– Nieraz moja córka pyta: mamusiu, czy ty musisz tak często jeździć do tego lekarza? Ja jej wtedy odpowiadam: Kochanie, muszę, po to, żeby z tobą być jak najdłużej – mówi Dagmara.

Gdy okazało się, że druga linia leczenia typowa dla raka potrójnie ujemnego w postaci terapii celowanej nie zadziałała, Dagmara była na skraju załamania.

– Na szczęście medycyna nie stoi w miejscu – mówi. – Okazało się po ostatnich badaniach, że jestem pacjentką z HER2-łow. A to oznaczało, że jest dla mnie jeszcze szansa na przedłużenie życia i nie wszystko jeszcze stracone, że mogę być jeszcze leczona.

Dagmara miała to szczęście, że jej lekarka złożyła wniosek o dostęp do nowej, innowacyjnej terapii w ramach Ratunkowego Dostępu do Technologii Lekowych (RDTL) i otrzymała decyzję pozytywną. – To nie jest lekarz, to anioł – zachwyca się nasza rozmówczyni. – Mam

wrażenie, że moja pani doktor nigdy nie stawia krzyżyka na pacjencie. A pacjent taki jak ja każdego dnia liczy na cud. Na to, że medycyna znajdzie coś, co będzie działało miesiące, lata, a nawet dłużej. I mam nadzieję, że tak właśnie będzie z tym lekiem. A może za chwilę pojawi się kolejny przełom, a ja dostanę jeszcze więcej czasu?

Wszystko dla córeczki

Po dwóch operacjach mózgu pozostał ślad w postaci znacznego niedowładu prawej strony ciała. Aktualnie Dagmara już chodzi, choć nie jest to łatwe. Docenia to, że gdy czuje się odrobinę lepiej, może pójść po córeczkę do przedszkola.

– Dziś rano Antosia poprosiła mnie: Mamo, czy przyjdiesz po mnie do przedszkola? Powiedziałam, że przyjdę. Wiem, że zajmie mi to trzy razy tyle czasu co zwykle, ale staram się jak mogę, żeby miała taką mamę prawdziwą – deklaruje pacjentka.

– Oddałabym wszystko, żeby mogła zobaczyć, jak moja córeczka idzie do podstawówki. Skończyła dziś 4 latka, więc jeszcze chwilką jej została. Na razie to jest moje największe marzenie, żeby dotrwała do tego dnia. Żeby mogła ją odprowadzić do klasy i być przy niej pierwszego dnia. Mam ogromną nadzieję, że to się uda i że będę mogła żyć jeszcze dłużej. Za tę chwilę oddałabym wszystko.

Nowe leki

– Informacja o nowym rodzaju raka piersi HER2-łow jest ważna dla chorych z zaawansowanym rakiem piersi, którym współczesna medycyna ma do zaoferowania w ramach kolejnych linii leczenia tylko chemioterapię, która jest mało skuteczna i znacznie osłabia organizm pacjentki – wyjaśnia dr n. med. Joanna Kufel-Grabowska z Katedry i Kliniki Onkologii i Radioterapii GUMed.

– Z biegiem czasu odpowiedź na kolejne linie staje się coraz krótsza, od kilku miesięcy do zaledwie tygodni. Natomiast tzw. terapie koniuga-

tami to nowa linia leczenia, która spowalnia postęp choroby – ponad dwukrotnie wydłuża czas bez progresji – i oddala termin, w którym konieczne jest zastosowanie chemioterapii. Nowa linia leczenia to dłuższy czas przeżycia, ale też nadzieja, że na horyzoncie pojawi się kolejna linia leczenia, która sprawi, że pacjentka będzie żyła jeszcze dłużej. Stąd mówi się obecnie,

że chore na raka piersi żyją od terapii do terapii – od przełomu do przełomu.

Kupić choć kilka lat

– Dla nas, pacjentek z zaawansowanym rakiem piersi, dostęp do innowacyjnych terapii to szansa na kolejne miesiące, lata życia, kolejne lata cieszenia się rodziną – mówi Dagmara. – Nic nie powinno być ważniejsze od ludzkiego

życia. Wiadomo, że każdy organizm różnie reaguje, ale jest duża szansa, patrząc na wyniki, na badania kliniczne, że ten lek zadziała. Że może kupić nam trochę czasu z rodziną. Domyślam się i wiem, że człowiek zdrowy nie zdaje sobie sprawy, z czym musimy się mierzyć. Ja też trzy lata temu w życiu bym nie pomyślała, że coś takiego mnie spotka i że będę w takiej sytuacji,

i że będę potrzebowała pomocy. A to może spotkać każdego. Nie wszystkie moje koleżanki mają tyle szczęścia co ja. Dlatego chciałabym, by urzędnicy z resortu zdrowia, którzy podejmują decyzje, spróbowali postawić się w naszej sytuacji.

Głęboko ukryty

– Mam fantastycznego syna i cudownego partnera, na którego czekałam tyle lat – cieszy się Anna Ślęzak. – I nie wyobrażam sobie, jakbym miała go teraz samego zostawić. Ja bardzo dużo rzeczy teraz doceniam. I tak bardzo pragnę doczekać wnuków, że choćby na czworaka, to będę szła po nowy lek, jeśli tylko będzie szansa go dostać. O tym, że mam raka piersi, dowiedziałam się latem 2022 roku. Poprzedni rok był dla mnie bardzo ciężki; w marcu zmarła mi babcia, a ja po urazie kręgosłupa usiłowałam powolutku zacząć żyć normalnie. We wrześniu skończyła mi się renta i marzył mi się powrót do pracy. Przedtem jednak postanowiłam zrobić sobie badania profilaktyczne i poszłam na USG piersi. Mój lekarz rodzinny zauważył coś niepokojącego i polecił skonsultować się z lekarzem specjalistą.

Nie zwlekając, Anna udała się do znanego w mieście radiologa. Guz był głęboko ukryty pod gruczołami...

– Sama nie byłabym w stanie go sobie wymacać. Gdyby nie to profilaktyczne USG, już by mnie dziś nie było – podkreśla Anna. – W dniu swoich imienin, 26 lipca, dostałam diagnozę: jest to rak złośliwy, naciekający okoliczne tkanki i jak najszybciej powinna zacząć działać.

Czarna magia

– Nie miałam w moim bliskim otoczeniu nikogo, kto by chorował na raka piersi, więc nie miał mnie kto pokierować, powiedzieć, jak to będzie wyglądało. Błądziłam jak dziecko we mgle – wspomina.

Dopiero od onkologa Anna dowiedziała się, że oznacza się jakieś receptory, a potem, że ma hormonozależnego



Anna Ślęzak: Gdyby nie to profilaktyczne USG, już by mnie dziś nie było. W dniu swoich imienin, 26 lipca, dostałam diagnozę: jest to rak złośliwy

FOT. ARCH. PRYWATNE

raka piersi z niską ekspresją białka HER2. Wtedy jeszcze na wyniku miała opis, że jest to HER2 ujemny rak piersi. To była dla niej czarna magia. Dziś wie już, że jej rak nazywa się HER2-low. Lekarze podjęli decyzję o mastektomii i równoczesnej rekonstrukcji piersi. Po tej operacji przeżyła - jak mówi - prawdziwy koszmarr. Jej organizm reagował na implant, jakby chciał go odrzucić. Z powodu ciągłych stanów zapalnych co rusz lądowała na chirurgii. Po dwóch miesiącach od operacji rozpoczęła chemioterapię. Ponieważ jej rak był hormonozależny, zaczęła brać zastrzyki, które miały wprowadzić ją w stan sztucznej menopauzy.

Trudne leczenie

- Chemia dosłownie powaliła mnie z nóg - przyznaje Anna. - Bywało, że nie mogłam wstać z łóżka. Był to okres takiej wewnętrznej żałoby, często płakałam, nie chciałam z domu wychodzić, gdy ktoś z sąsiadów zapytał, co słyhać, zalewałam się łzami. Mój partner jeszcze wtedy pracował w Krakowie i przyjeżdżał tylko na weekendy, za to bardzo pomagał mi mój syn, moja synowa i moi cudowni sąsiedzi. Zawsze powtarzam, że dobro wraca, i to niekoniecznie w formie materialnej, tak jak niektórzy oczekują. Podczas pandemii bardzo przeżyłam się moimi sąsiadami w starszym wieku, proponowałam pomoc w zakupach czy zawiezieniu do lekarza. Gdy dowiedzieli się, że ja jestem w trakcie chemioterapii, że mam raka, to zaczęli pukać do mnie. Pamiętam pierwszy raz, jak zapukały do mnie starsze sąsiadki, że idą na targ i jeśli bym potrzebowała owoce, warzywa świeże, to one mi przyniosą. Popłakałam się wtedy ze wzruszenia.

Potrzebna jest rozmowa

- Tak naprawdę moim nieodłącznym towarzyszem jest strach - zdradza Anna. - Boję się nawrotu choroby i tego, że nie będzie mnie czym leczyć. Po tych przejściach Anna została wolontariuszką w Fundacji „Oko w Oko z Rakiem”. Można ją znaleźć również na internetowych grupach wsparcia.

- Uważam, że siedzenie w domu i umartwianie się nad sobą pogłębia depresję



FOT. ARCH. PRYWATNE

Justyna Dec: Nasza Fundacja „Oko w Oko z Rakiem” bardzo mocno wspiera pacjentów onkologicznych

i stany lękowe - przekonuje Anna. - Trzeba wychodzić do ludzi. Ja wzięłam pod opiekę mój oddział, na którym jestem leczona. Tam prowadzę warsztaty szydełkowania z pacjentkami.

To jest taki pretekst, bo tym dziewczynom potrzebna jest rozmowa, wymiana doświadczeń i porozmawianie, co kogo gryzie, kto czego się obawia. Szydełkuję, rozmawiam z pacjentkami, spotykam się z różnymi przypadkami, więc ciągle jest we mnie niepewność. Jak wchodzę na kolorowo ubrana, uśmiechnięta, to ja tym pacjentkom pokazuję, że jest ciężko, ale nie wolno się poddać i trzeba się cieszyć każdym dniem. Ludzie się dziwią, nie wiedzą czasami, co to jest wolontariat. Wolontariat robi się z dobroci serca, a nie dlatego, żeby liczyć, że ktoś mi za coś zwróci. Ja od tych pacjentek tak dużo ciepła dostaję, tak dużo serdeczności, że mnie to bardzo pozytywnie ładuje.

Życie na bombie

- Powiem szczerze, że chodzę na terapię do psychologa, staram się o tym nie myśleć, ale jestem przerażona - przyznaje Anna. - To jest jak życie na bombie. Nigdy nie wiadomo, w którym momencie odpali. Nie znam pacjentki z bliższego otoczenia, która nie korzysta lub nie korzystała z pomocy psychiatry, psychologa; każda z nas ma cały czas w głowie to, że jak będzie nawrót, to co dalej? Chemia nas wyniszczy. Dziś mamy światełko w tunelu w postaci nowoczesnego leku. Odkąd dowiedziałam się, że jest szansa na refundację tego leku i szansa na życie dla nas pacjentek, to troszeczkę odżyłam. Mogą już z niego korzystać pacjentki z 15 krajów, a my wciąż jeszcze czekamy.

Chcemy jeszcze żyć

- To pragnienie jest jeszcze większe, kiedy wiemy, że jest lek dający nam na to szansę - mówią pacjentki z zaawansowanym rakiem piersi HER2-



FOT. ARCH. PRYWATNE

Dagmara: Okazało się, że jest dla mnie jeszcze szansa na przedłużenie życia, że mogę być jeszcze leczona

low. Szacuje się, że rocznie ponad 20 tysięcy Polek otrzymuje diagnozę raka piersi, co czyni go najczęściej występującym nowotworem wśród kobiet.

- Choć program lekowy leczenia raka piersi należy do najbardziej rozbudowanych, to dzisiaj brakuje w nim nowoczesnego leku dla tych, u których rak wyrwał się spod kontroli.

Mowa tutaj zwłaszcza o kobietach z rozsiałą chorobą i nabytą hormonalną opornością - potwierdza Justyna Dec, prezes Fundacji „Oko w Oko z Rakiem”. - Ten lek ma już pozytywną rekomendację prezesa AOTMiT i jest rekomendowany przez wszystkie uznane towarzystwa naukowe.

- Wierzę, że Ministerstwo Zdrowia nie będzie długo zwlekać z dobrą decyzją dla nas. Jeśli medycyna daje nam możliwości wydłużenia życia, to chcemy z nich korzystać. Każda pacjentka z rakiem piersi, niezależnie od etapu

zaawansowania, zasługuje na równy, możliwie najlepszy dostęp do leczenia, nadzieję i czeka dzięki takiej terapii.

Nikt mi nie wierzył

- Fundację założyłam, ponieważ w 2016 roku sama zachorowałam na raka piersi - opowiada Joanna. - Miałam 40 lat i początkowo żaden z lekarzy nie wierzył, że mam zmianę w piersi.

Wymacałam ją sama podczas kąpieli. Takie samobadanie piersi wykonywałam sobie regularnie i to mnie uratowało.

Wtedy rozpoczęłam całą diagnostykę, było to jednak traumatyczne przeżycie, bo nikt mi nie wierzył. W mammografii widać było jedynie zwapnienie. A jak robili USG, to zmiana w piersi była niewidoczna. Czułam ją jednak, bo jak się bada swoje piersi, to nie ma szans, żeby się jej nie zauważyło.

Leczenie Justyna rozpoczęła w Narodowym Instytucie Onkologii w Gliwicach,

gdy miała już przerzuty do piersi.

- Dłatego usunięto mi całą pierś i wszystkie węzły chłonne, a potem przeszedłam chemioterapię, radioterapię oraz immunoterapię - wspomina.

Teraz zgłasza się regularnie na kontrolę. Opuszczając gabinet onkologa, oddycha z ulgą - szczęśliwie przerzutów nie ma.

Fundacja pomaga

- Dzwonią do nas pacjentki z całej Polski, w tym również z Pomorza - twierdzi Justyna Dec. - Nasza Fundacja Oko w Oko z Rakiem bardzo mocno wspiera pacjentów onkologicznych. Bardzo dużo jest takich pacjentek, jak Ania i Dagmara. A teraz te dziewczyny, u których rak powrócił, praktycznie zostały bez leczenia.

W dużych ośrodkach onkologicznych kobietom łatwiej „załapać się” na innowacyjne leczenie, ale co z pacjentkami, które się leczą w mniejszych ośrodkach.

One już nie mają do nich dostępu i też nie mają wiedzy, że badanie w kierunku ekspresji receptora HER2 jest bardzo ważne i że takie terapie w ogóle istnieją.

Jak podkreśla Justyna Dec, bycie pacjentką w zaawansowanym stadium raka piersi nie musi oznaczać wyroku.

- To początek drogi, niełatwej drogi, na której odpowiednie leczenie i wsparcie medyczne mogą zapewnić wiele lat życia - wyjaśnia pani prezes.

- Dzięki nowoczesnym lekom wiele kobiet z przerzutowym rakiem piersi może prowadzić aktywne życie, jednocześnie kontynuując leczenie. Ważne jednak, by nasz program lekowy podążał za rozwojem medycyny.

Dla nas, pacjentek, to jest kluczowe

Chcemy mieć dostęp do nowoczesnych terapii, które dają nam szansę na lepsze leczenie nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy wcześniejsze metody przestają działać. Każde dodatkowe miesiące i lata życia to czas, który możemy spędzić z bliskimi, realizować pasje i cele.

To czas, w którym pojawiać się może kolejne odkrycie, kolejny przełom medyczny, kolejne możliwości leczenia.

©®

stronaZDROWIA

Czytaj dla zdrowia



czytaj

stronazdrowia.pl



Mało kto wie, że jej książki tłumaczono na różne, czasem egzotyczne dla nas, języki, na przykład na japoński czy esperanto, a wydawano, jak stało się to z kryminałem „Złota Cma” nawet w tak odległych miejscach na świecie jak hawajskie Wydawnictwo Hawayan Press. Była autorką wielozadaniową – w jej dorobku można znaleźć wiele różnych form literackich, bo oprócz opowiadań science fiction tworzyła wiersze, limeryki i haiku, pisała bajki dla dzieci, powieści obyczajowe oraz scenariusze teatralne.

Zadebiutowała jako poetka w tygodniku „Litery” w 1966 roku, wtedy jeszcze jako Emma Kostiuk. Lata później, bo w roku 1983, przyszedł debiut prozatorski – początkowo pod pseudonimem Emma Popiss na łamach kultowego już polskiego pisma science fiction „Fantastyka”. Opowiadaniem „Mistrz” o niuansach sprawowania władzy zainteresowała Czytelników i Czytelniczki i od tego momentu jej utwory pojawiły się w miesięczniku wielokrotnie. W 1986 roku wydała w końcu swój debiut książkowy – zbiór opowiadań „Tylko Ziemia” – który, choć nierówny pod względem literackim, to do dziś jest uważany przez niektórych za wizjonerski. Dość powiedzieć, że już w nim pojawiają się tematy, które będą Emmę Popik interesować całe życie: rzeczywistość po apokalipsie i próby przetrwania dziecięcych niedobitków ludzkości, ludzie i maszyny, sztuczna inteligencja zarządzająca funkcjami życiowymi człowieka oraz mechanizmy działania państw autorytarnych i dzielenia obywateli na kasty społeczne i ekonomiczne.

Wiele zawodów

Urodziła się w 1944 r. w miejscowości Skępe w dzisiejszym województwie kujawsko-pomorskim, ale to z Gdańskiem związała swoje



Emma Popik zadebiutowała jako poetka w tygodniku „Litery” w 1966 roku, wtedy jeszcze jako Emma Kostiuk. Lata później, bo w roku 1983, przyszedł debiut prozatorski – początkowo pod pseudonimem Emma Popiss

Już w latach 80. pisała o sztucznej inteligencji. Tworzyła kryminały i – przede wszystkim - science fiction, w środowisku nazywano ją nawet „Królową Postapo”. Badała sprawy UFO i opisywała gdańską Biskupią Górkę, gdzie mieszkała. Zmarła pisarka Emma Popik

Barbara Piórkowska

twórcze życie. Miała zresztą życiorys pełen zawodowych zwrotów. Skończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Uczyła w szkole podstawowej, była asystentką w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Bydgoszczy i polonistką w gdańskim Centrum Kształcenia Ustawicznego Mechaników i Elektryków (CKUME). Ale to aktywności związane z książkami i dziennikarstwem dały jej dużą lo-

kalną rozpoznawalność – jako redaktorka merytoryczna pracowała najpierw w gdańskim Wydawnictwie Morskim, a później, po dłuższym pobycie w latach dziewięćdziesiątych w Londynie, gdzie pisała do „Dziennika Polskiego”, i w Japonii – w roku 2000 założyła i dwanaście lat prowadziła, współfinansowane przez Wydział Edukacji Urzędu Miejskiego w Gdańsku czasopismo „Nowy Kurier

Nadbałtycki”, którego została redaktorką naczelną. Zbierała materiały i pisała o tym, co się działo w szkołach w całym Trójmieście. Tłumaczyła też książki z języka angielskiego.

Gdańsk jej miasto

Lekturą, która ma stałe włączyła Emmę Popik do grona gdańskich miejskich opowiadaczy i opowiadaczek, stała się opublikowana w 2019 roku przez Wydawnictwo

Marpress powieść „Królowa Salwatora”. Jak czytamy na okładce: „to przejmująca historia o ludziach walczących o uratowanie przepięknej, zabytkowej dzielnicy Gdańska – Biskupiej Górki – przed rozbiórką i zagładą. Skłóceni ze sobą nawzajem muszą przejść wewnętrzną przemianę, by stać się społecznością zorganizowaną wokół wspólnych celów”. Bohaterką książki i symbolem inspiracji do dzia-

łania – a zarazem chyba literackim alter ego pisarki – jest w tym tekście postać tytułowa – nieco dziwaczna i nie przez wszystkich zrozumiana, ale zarazem symbolizująca ducha dzielnicy Królowa Salwatora. Jest to chyba też literacki manifest autorki, zachęający mieszkańców i mieszkanki do tworzenia lokalnych wspólnot i walki o swoje prawa.

Niezidentyfikowane Obiekty Latające

Mniej dziś znaną stroną działania pisarki, jest jej fascynacja związana z UFO. Interesowała się nim już od lat 70. XX wieku. Autorka należała do amerykańskiego stowarzyszenia „Mutual UFO Network”, a jako ufologka założyła pierwszy w Polsce Klub Kontaktów Kosmicznych. Artykuły na temat Niezidentyfikowanych Obiektów Latających, tworzyła dla czasopism w Stanach Zjednoczonych, Finlandii, Anglii, a nawet Chinach. Co ciekawe – badała też zjawisko lokalnie – jeżdżąc po Pomorzu i szukając świadków zdarzeń.

Ostatnia droga

Emma Popik współpracowała z wieloma wydawnictwami, takimi jak: Iskry, Saga, Wydawnictwo Gdańskie, North Press, Sumptibus, Marpress, RW2010, Akia, Literackie czy Rytm. Tworzyła do końca, a w 2023 ostatnim roku zdążyła jeszcze wydać trzy książki: „Cyklop”, „Szaman” i „Szamanka”. Jeszcze inne są w trakcie redakcji, opublikować ma je Wydawnictwo OdeSfa, z którym współpracowała przez ostatnie lata życia. Zmarła 4 lutego 2025 roku po długim pobycie w szpitalu. Jak pisze na Facebooku jej syn Tomasz – została po sobie komputer pełen niedokończonych tekstów. Pochowana zostanie w Drohiczynie, a czytelnicy i czytelniczki, którzy postanowią przyjechać na pogrzeb, mogą przynieść jedną z jej książek lub ulubiony cytat.

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



FOTOkomentarz tygodnia



SANTORINI, 4 LUTEGO 2025

Tysiące osób w panice próbowały opuścić przepiękną grecką wyspę Santorini w obawie przed trzęsieniem ziemi. W porcie morskim zapanował chaos, a linie lotnicze organizowały dodatkowe rejsy. W okolicach Santorini na Morzu Egejskim zarejestrowano setki trzęsień ziemi. Santorini leży w strefie wzmożonej aktywności sejsmicznej, a sama wyspa powstała w wyniku wybuchu wulkanu. Ten scenariusz rozpatrują obecnie naukowcy. Do gigantycznego wybuchu wulkanu, który rozerwał wyspę, doszło ok. 1600 roku p.n.e. Była to jedna z najsilniejszych erupcji wulkanicznych w znanych dziejach Ziemi.

FOT. PAP/EP

REJSUNKI



REKLAMA

0011262010

NA SPRZEDAŻ



NIERUCHOMOŚĆ
GRUNTOWA
ZABUDOWANA
**HAŁĄ PRODUKCYJNĄ
Z CZĘŚCIĄ BIUROWO-
SOCJALNĄ**
ZLOKALIZOWANA
W SPECJALNEJ
SŁUPSKIEJ STREFIE
EKONOMICZNEJ

SŁUPSK
UL. PORTOWA 16C
Powierzchnia gruntu:
6737 m²

Powierzchnia użytkowa budynków:

1. część produkcyjna
– 1446,97 m²
2. część socjalno-biurowa
dwukondygnacyjna
– 387,24 m²

Opis:

Działka w kształcie czworoboku nieregularnego, z łagodnym spadkiem w kierunku południowym. Teren nieruchomości w pełni zagospodarowany, częściowo utwardzony, zapewniający dojazd pojazdów dostawczych. Od strony zachodniej teren podnosi się i graniczy ze skarpą. Dojazd do nieruchomości korzystny – z ulicy Portowej skręt w ulicę utwardzoną.

Media:

- sieć wodno-kanalizacyjna, gazowa i elektryczna.
- ogrzewanie gazowe.
- rok budowy: 2009 r
- pełna własność

Cena całkowita w PLN:

3 600 000 PLN

(zwolnienie z VAT zgodnie z art. 43 ust. 1 pkt 10)

Kontakt:

ZADZWOŃ ☎ 606 399 499

dom@ms.pl

KIEDY SOKÓŁ „STROI SIĘ” DO LOTU...

Silne, waleczne i potężne. Majestatyczne, gdy szybują w przestworzach. Hipnotycznie przyciągają wzrok. Ptaki drapieżne władają polskim niebem. W locie wypatrują zdobyczy.

Szlachetność orła wpisała się w narodowe godło, a w kulturze ludowej funkcjonował obrzęd związany z kanią. Te zwierzęta inspirują, przyciągają, chce się być jak bliżej nich. Tak postanowił żyć Maciej Wąs

Kinga Furtak

Swoją masywną sylwetką i lekkością lotu po prostu czaruje. Na myśl przychodzi wolność. Bielik to największy polski ptak szponiasty. Długość jego ciała to około 80-90 cm a rozpiętość skrzydeł sięga do 240 cm! Buduje potężne gniazda, które będąc używane przez wiele lat może przekraczać 2 metry wysokości i ważyć ponad tonę! Przy gnieździe odzywają się przenikliwym, ujadającym krakaniem.

Bielik jest monogamistą. Potrafi wiązać się w parę na całe życie. Jest gatunkiem chronionym, wymienionym w Polskiej Czerwonej Księdze Zwierząt jako wymagający szczególnej uwagi. Ale warto go wypatrywać na niebie, bo być może uda się go zobaczyć. Ten ptak lubi gnieździć się w lasach, które są w pobliżu jezior, rzek, a także na nadmorskim wybrzeżu. Wszystko dlatego, że jest wielkim rybożercą. Na wolności może żyć nawet 30 lat!

Ptaki drapieżne od stuleci są dla człowieka symbolem odwagi, siły i dostojności. Te zwierzęta były niezwykle symboliczne w czasach średniowiecznych. Wierzono bowiem, że odpędzają demony i są w stanie wzbić się aż w niebiosa do bogów. Bielik miał szczególne miejsce w kulturze dawnych Słowian. Jego biały kolor, widziany na rozłożystym ogonie, uznawany był za boski. Wierzono, że wyróżniał istoty pochodzenia niebiańskiego.

Lech zauroczony pięknem

Godłem Rzeczypospolitej Polskiej jest wizerunek orła białego ze złotą koroną na głowie zwróconej w prawo, z rozwiniętymi skrzydłami, z dziobem i szponami złotymi, umieszczony w czerwonym polu tarczy. W ten wizerunek najbardziej wpisuje się polski ptak drapieżny - bielik.

Jak głosi legenda o Powstaniu Polski, Lech przemierzając leśną polanę, zauważył wielkiego białego ptaka, który majestatycznie podniósł się

z gniazda i rozpostarł swoje ogromne skrzydła na tle ognistego zachodzącego słońca. Mężczyzna urzeczony tym widokiem postanowił w tym miejscu osiąść na stałe. Po spotkaniu z przepięknym i ogromnym ptakiem założył gród, który po dzień dzisiejszy nosi nazwę Gniezno. Sam wizerunek orła unoszącego skrzydła na krwistym niebie był inspiracją do stworzenia godła Polski.

Współczesne godło Polski ze śnieżnobiałym ptakiem drapieżnym o żółtym dziobie i szponach nie przypomina jednak żadnego konkretnego gatunku. Uznano, że zwierzę jest orłem, popularnym rodzajem ptaka w Europie, które utożsamiano z męstwem i wielkością. Przyjmuje się, że bielik, który był uważany do 2007 roku za orła, trafił na polski herb i stał się „orłem białym”. Naukowcy prowadzą wiele dyskusji na ten temat.

Ptaki drapieżne swoją dostojnością i powagą wzbudzają niewątpliwie duże emo-

cje. Czasem można być obok nich naprawdę blisko.

Maciej Wąs, już jako dziecko mieszkał blisko lasów, na Kociewiu, w gminie Kaliska. Jako nastolatek zdecydował się na wybór Technikum Leśnego w Tucholi. Tam po raz pierwszy miał kontakt z ptakami szponiastymi, które pochodzą z hodowli.

- Pierwszym moim ptakiem sokolniczym był samiec raroga - o imieniu Kleks. Ptak pochodził z niemieckiej hodowli - był doświadczonym ptakiem. Podczas codziennych lotów treningowych zdobywałem pierwsze praktyczne szlify układania ptaków szponiastych do polowania - wspomina sokolnik Maciej Wąs. - Sokóły są bardzo spostrzegawcze i potrafią wykorzystać każdy błąd człowieka. Dlatego praca z nimi wymaga niesamowitej dyscypliny. Każdy ptak ma też specyficzny charakter. Trzeba do nich podchodzić indywidualnie, z ogromnym spokojem i wielką cierpliwością.

GODŁO POLSKI ZE ŚNIEŻNOBIAŁYM PTAKIEM DRAPIEŻNYM O ŻÓŁTYM DZIOBIE I SZPONACH NIE PRZYPOMINA ŻADNEGO KONKRETNEGO GATUNKU

Puszczyk z Bieszczadów

Życie sokolnika, a często też jego rodziny, podporządkowane jest ptakom. Dziś ma ich dziewięć, choć zakładał, że maksymalnie będą dwa. Wszystkie są bardzo przywiązane do swojego opiekuna. Żywo reagują, gdy znajdzie się w zasięgu ich wzroku, reagują też na swoje imiona.

W wolierze przy domu mieszka pustułka o imieniu Set, tuż obok niej swoją siedzibę ma puszczyk uralski o imieniu Hey Hey. To jedna z większych sów Polski. Ma charakterystyczne, mogące budzić grozę - czarne oczy. To mistrz nocnych łowów. Ma

niezwykle czuły słuch - ponad 30 razy lepszy niż człowiek. A jej bezszelestne poruszanie się w ciemnościach pozwala precyzyjnie złowić swoją ofiarę.

Owszem, poleci także na polowanie w dzień, mimo prowadzenia nocnego trybu życia. W jej menu są przede wszystkim drobne gryzonie, ale jak nie ma nic lepszego, to nie pogardzi płazami i większymi chrząszczami. Potrafi także wybrać się na łowy do gniazd ptaków innych gatunków i wykraść im z gniazd pisklaki, aby ze smakiem je zjeść.

W Polsce puszczyka uralskiego możemy spotkać

przede wszystkim na południowym wschodzie kraju, głównie w Beskidzie Niskim, w Bieszczadach oraz na Mazurach. Na Pomorzu ich niestety nie dostrzeżemy.

Leśna partyzantka

Pod opieką pana Macieja są także mniejsze sowy - trzy puszczyki zwyczajne - Dexterka, Fraglesia i Dorotka.

W naturze, jak na sowy przystało, łatwiej je usłyszeć niż zobaczyć. Ich głos upodobał sobie reżyserzy filmów grozy. Najbardziej charakterystyczne są głośnie, terytorialne wołania samca: „huuuu” - „hu” - lekko wibrujące „huhuhuhuhu”. Potrafią wydawać też inne dźwięki, których można nie skojarzyć z sową. Ich czarne lśniące oczy w otoczeniu puszystych piór wyglądają po prostu słodko. Nie można jednak dać się zwieść temu wizerunkowi. To bardzo wszechstronny i skuteczny drapieżca. O zmierzchu, albo wczesnym świtem można próbować je wypatrywać na naszych leśnych terenach lub w okolicach starych opuszczonych budynków.

- Puszczyki zaczynają okres godowy nawet już w grudniu, choć największa aktywność głosowa przypada na styczeń-luty i teraz częściej można je usłyszeć - mówi pan Maciej.

Kolejny ptak w wolierze sokolnika to Dzika - Jej imię może zdradzać wszystko. Jest ptakiem wyjątkowym. To nasz rodzimy jastrząb. Choć jego liczebność jest spora, to wcale nie tak łatwo da się go zaobserwować. Ten wyśmienity myśliwy najchętniej chowa się gęstych koronach drzew.

- O jastrzębiach mówi się, że są leśnymi partyzantami - opowiada pan Maciej. - Ten ptak nie myśli za dużo, nie kalkuluje, gdy poluje, po prostu działa. Jak jest głodny i tylko wypatrzy swoją ofiarę to od razu atakuje, nie patrząc wiele na to, co się dzieje dookoła.

Najczęstszym jego łupem jest gołąb. Łapie je nie tylko w locie, ale także odwiedzając



Maciej Wąs: Sokóły są bardzo spostrzegawcze i potrafią wykorzystać każdy błąd człowieka. Dlatego praca z nimi wymaga niesamowitej dyscypliny

FOT. ANNA WĄS

gołębniki. Nie pogardzi też zającem, czy innym większym ptakiem. Ptaki drapieżne potrafią polować na ofiary, które są od nich trzy razy większe.

W wolierze przygotowanej przez sokołnika są też dwie samice raroga - Ira i Higi. Ptaki te nie występują w polskiej naturze, choć podlegają ochronie strefowej w naszym kraju. Ostatnią panienką jest Furia - Myszołowiec towarzyski, który w naturze zamieszkuje południowo-zachodnią część Ameryki Północnej, Ameryki Środkowej i Ameryki Południowej. To gatunek bardzo społeczny, bardzo inteligentny, poluje stadnie. Wykorzystywany jest głównie do ochrony biologicznej budynków.

Dbanie o taką gromadę ptaków drapieżnych wymaga dużo czasu i pracy.

Dzień wcześniej trzeba przygotować dla nich posiłki. W ich menu są głównie przepiórki, myszy, kurczaki, gołębie lub to co upolują.

Podawane są z kośćmi i piórami, sierścią. Każdy z tych ptaków robi kolejnego dnia wypławkę - jest to zlepek niestrawionych części pokarmu. Wówczas ptak jest chętny do lotów.

Rano pan Maciej robi obchód wolier i sprawdza, czy z ptakami jest wszystko w porządku, potem jest czas na pracę zawodową w Nadleśnictwie Kaliska, ptaki szponiaste są dopełnieniem jego zawodu, a po powrocie z pracy przepakowuje samochód i wybiera się z ptakami na loty.

To piękny i wyjątkowy moment. Można powiedzieć, że ptak „strois się” do lotu - chodzi o strzepanie wszystkich piór, żeby się odpowiednio ułożyły. Nie mogą być wygięte, zahaczone o inne, bo to wiąże się z gorszą jakością lotu. Ptak wraca do człowieka, bo powstaje pomiędzy nimi silna więź, no i zyskuje dzięki tej relacji łatwość zdobycia pokarmu.

- Nie wyjeżdżam na dłuższe wakacje, mogę sobie pozwolić na wyjazdy około doby, góra na dwie - deklaruje nasz rozmówca. - Teoretycznie ktoś mógłby mnie zastąpić w karmieniu ptaków, jednak one nie pokazują, że coś złego się dzieje. Ja, będąc z nimi codziennie, jestem w stanie wychwycić minimalne różnice w ich zachowaniach. Ptaki drapieżne, gdy chorują i pokazują to swoim zachowaniem, to jest naprawdę niewiele czasu na udzielenie im fachowej pomocy.

W Polsce jest niewielu weterynarzy, którzy potrafią nieść pomoc tym ptakom. Mimo drapieżnego charakteru są bardzo wrażliwe i delikatne. Ta specjalizacja zaczyna się dopiero rozwijać. Co ciekawe, szpitale dla ptaków szponiastych w Zjednoczo-

nych Emiratach Arabskich są bardzo dobrze wyposażone, nawet lepiej niż te w Polsce dla ludzi.

Od 2021 r. polskie sokolnictwo jest wpisane na światową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. 250 osób zrzeszonych w Polskim Klubie Sokolników PZŁ Gniazdo Sokolników. Sokolnicy zajmują się głównie podtrzymaniem wielowiekowej tradycji - układają ptaki szponiaste do polowania. Zajmują się także ochroną biologiczną obiektów, można ich spotkać na lotniskach wojskowych, cywilnych, zajmują się płoszeniem ptaków w parkach miejskich, na planacjach borówek, czereśni. Prowadzą również zajęcia edukacyjne o tych fascynujących ptakach.

Sokół wędrowny - szybszy od F1

Ma świetny wzrok i jest w stanie odróżnić od siebie nawet 129 intensywnych błysnięć światła w ciągu sekundy. Do tego jest najszybszym ptakiem na świecie. Może osiągnąć prędkość do nawet 400 km na godzinę w locie nurkowym. Ma charakterystyczne cienkie i długie skrzydła, które swoim kształtem przypominają ostrze miecza - są mocne i wytrzymałe.

Jednak bywają nazywane leniwymi. Dlaczego? Otóż zupełnie odwrotnie niż jastrzębie, które bezwzględnie dążą do celu, sokoły po nieudanych próbach schwytania ofiary potrafią sobie czasami odpuścić i usiąść w ustronnym miejscu.

Sokolnicy mówiąc o swoich sukcesach wskazują, że to między innymi dzięki nim właśnie sokół wędrowny wrócił na polskie niebo.

Ten gatunek w latach 60. wyginął niemal całkowicie. Jak opowiada pan Maciej - przyczyniło się do tego ówczesne rolnictwo, w którym bardzo popularny był bardzo trujący te ptaki środek DDT. Sokoły akumulowały go w sobie. Samice zaczęły składać jajka bez skorupki.

Nie było w ogóle szans na odchowanie piskląt. I tak w naturze ptaki praktycznie zniknęły głównie z europejskiego i amerykańskiego nieba.

Od 1990 roku trwa program odbudowy populacji tych ptaków w naszym kraju.

- Sokolnicy, wraz ze Stowarzyszeniem na rzecz Dzikich Zwierząt „Sokół”, wypuścili do natury ponad 1500 sokołów, ta populacja podwoiła się dwukrotnie. Na terenie Polski jest około 60 dzikich par, które żyją bez ingerencji człowieka. To się udało, bowiem mieliśmy te ptaki w swoich wolierach oraz wysłmienicie znamy ich naturę i perfekcyjnie opanowaliśmy hodowlę tego gatunku - mówi Maciej Wąs. ©©



FOT. MACIEJ WĄS

Polskie sokolnictwo jest wpisane na światową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. 250 osób zrzeszonych jest w Polskim Klubie Sokolników



FOT. ANNA WĄS

Anna Wąs i puszczyk uralski o imieniu Hey Hey. Puszczyki zaczynają okres godowy nawet już w grudniu, choć największa aktywność głosowa przypada na styczeń-luty

stronazdrowia

Czytaj dla zdrowia

czytaj

stronazdrowia.pl

motofakty.pl

Motoryzacja na wysokich obrotach

TAJEMNICE POMORZA.

Kamień ze śladem stóp dziecka

Kamień z niezwykłymi śladami od wielu, wielu lat działa na wyobraźnię. Współcześnie i przed wojną. W okolicy są trzy piękne jeziora: Kamień, Orle i Smołowe. Kiedyś w tym rejonie tętniło turystyczne życie. Dzisiaj rządzi wyłącznie natura. Zapraszamy w podróż w przeszłość.

Andrzej Gurba

Jeziora Kamień, Orle i Smołowe położone są blisko siebie, wręcz ze sobą graniczą. To akweny o nieskazitelnym czystości wody. Z urozmaiconą linią brzegową. Występuje w nich rzadka lobelia - roślina będąc reliktem borealno-atlantyckim. Oczywiście jest więcej rzadkich roślin. A można tu spotkać także rzadkie gatunki ptaków, jak np. bociana czarnego. To przyrodnicze bogactwo znajduje się na terenie gminy Miastko w powiecie bytowskim.

Tu tętniło kiedyś życie. Turystyka i historia

Wszystkie jeziora mają status rezerwatów, a więc są ściśle chronione. Nie można się tutaj kąpać, uprawiać sportów wodnych, wędkować. Nie zawsze tak było.

Przed 1939 rokiem ten rejon tętnił turystycznym życiem. Szczególnie jeśli chodzi o jezioro Kamień. Przy jego brzegu zorganizowano miejskie kąpielisko (cztery kilometry od Miastka) z pomostami dla kąpiących się i wędkarzy. Działała kawiarnia z tarasem. Były domki letniskowe, przebieralnie, niezliczona liczba ławek.

Miejsce intensywnie reklamowano w wielu turystycznych prospektach. Jeszcze długo po wojnie mieszkańcy mówili o jeziorze Kamień „budki” (od domków letniskowych).

Stopy dziecka odbite w głazie. Przejdź tym szlakiem

Niedaleko jeziora Kamień, przy niebieskim szlaku turystycznym, znajduje się głaz z odbitymi stopami dziecka. Tak przynajmniej mówią o tym legendy. A jest ich kilka.

W niemieckiej literaturze można znaleźć zapisy przedwojennych nauczycieli opowiadających o siedmioletniej dziewczynce, której los nie szczędził przykrości. Są też polskie opowieści na ten temat.

Oto jedna z nich:

Zła matka wysłała córkę na jagody (w innej wersji matka nie jest zła, tylko biedna). Dziewczynka długo szukała owoców. W lesie spotkała rozbójnika. Zaczął gonić dziewczynkę. Ta uciekała, aż w pewnym momencie na jej drodze pojawił się duży kamień. Dziewczynka nie mogła się na niego wdrapać. I stała się rzeczą niemożliwą. Kamień zro-

bił się miękki. Dziewczynka wdrapała się na niego. I stąd jej odbite na nim stopy. Kiedy złoczyńca ją dogonił, kamień z powrotem stał się twardy. Kiedy więc rozbójnik próbował na niego wejść, spadł i zginął.

Inna wersja tej legendy mówi, że dziewczynkę przed złą macochą uratowała wilczyca, bo na kamieniu poza stopami dziecka ma też być łapa wilka.

Kamień historyczny poświęcony feldmarszałkowi

Jeszcze bliżej jezior Kamień i Orle jest kolejny głaz, tym razem bardziej osadzony w realiach. To pomnik, który ponad 100 lat temu poświęcono feldmarszałkowi Blucherowi. Wykuto w nim napis: Dem Andenken Bluchers (Pamięci Bluchera). Obecnie litery są już zatarte.

Gebhard Leberecht von Blucher stacjonował w Miastku w latach 1787-1794. Wtedy sprowadził tu całą swoją rodzinę. W Miastku spoczęła jego pierwsza żona, baronowa Caroline Amelie von Mehling.

Blucher był jednym z wodzów pruskich, który pokonał Napoleona.

W pobliżu szlaku. Trasy spacerowe, po których nie ma śladu

Ponad 100 lat temu w tym rejonie znajdował się las - park podmiejski z trasami spacerowymi.



Głaz niedaleko jeziora Kamień. Widać na nim odbicie przypominające stopy dziecka, niektórzy zauważali także odbicie wilczej łapy

Niedaleko pomnika Bluchera stały drewniane miejsca do wypoczynku. Dzisiaj nie ma już po nich śladu.

Miejsce, w którym znajduje się pomnik, też już nie przypomina parku. Sto lat temu ina-

czej biegła przy nim droga. Dzisiaj jezdnią jest jakby w wąwozie. Wtedy droga była na równi z parkiem.

Dodajmy, że współcześnie głaz jest pomnikiem przyrody. ©P



Zdjęcie z 1932 roku przedstawiające kamień ze stopami dziecka. Przy nim uczniowie z ówczesnej szkoły podstawowej



Pocztówka z 1920 r. z kamieniem upamiętniającym Bluchera



Przed 1939 r. nad jeziorem Kamień znajdowało się popularne podmiejskie kąpielisko

JAK CZESI POLSKĘ NAJECHALI

Z końcem stycznia minęło 106 lat od wybuchu wojny polsko-czechosłowackiej, która zadecydowała o kształcie Śląska Cieszyńskiego

Jacek Drost

Ofensywa czechosłowacka rozpoczęła się 23 stycznia 1919 r., m.in. 20 batalionów piechoty i trzy szwadrony kawalerii liczące kilkanaście tysięcy ludzi wkroczyły na Śląsk Cieszyński i zmusiły nieliczne siły polskie na tym terenie (1,5 tys. żołnierzy i oficerów) do odwrotu w kierunku północnym i północno-wschodnim. W pierwszym dniu ofensywy Czesi zdobyli Bogumin oraz kopalnię w polskiej części Zagłębia Karwińskiego.

„W ciągu dwóch dni opanowały pozostającą pod zwierzchnictwem Rady Narodowej część Karwińsko-Ostrawskiego Zagłębia Węglowego i kolej bogumińsko-koszycką. Walki miały charakter partyzancki. 26 stycznia w Stonawie Czesi zamordowali 20 polskich jeńców i rannych. W Kończycach Małych zginął przybyły z posiłkami kpt. Cezary Haller. Na skutek utraty Karwiny i okolic oraz groźby ataku na Cieszyn, płk Latinik postanowił ewakuować wojska na linię Wisły. Cieszyn opuściła większość członków Rady Narodowej, udając się do Bielska i Krakowa. 27 stycznia Czesi bez walki zajęli Cieszyn” - napisała historyk Halina Szotek ze Skoczowa w okolicznościowej publikacji z okazji 90-lecia bitwy pod Skoczowem „Trudna droga do Polski”.

Porozumienie zarzewiem konfliktu

Wojna była następstwem pogarszających się od kilku tygodni stosunków pomiędzy Radą Narodową Księstwa Cieszyńskiego, będącą tymczasowym rządem mającym za zadanie przejście władzy w Księstwie Cieszyńskim po rozpadzie Austro-Węgier i włączenie Śląska Cieszyńskiego w granice tworzącego się państwa polskiego, a jej odpowiednikiem po czeskiej stronie, czyli Narodnym Výborem pro Slezsko. 5 listopada 1918 r. RNKC podpisała z ZNV pro Slezsko umowę tymczasowo rozgraniczającą Śląsk Cieszyński na część administrowaną przez Polaków i Czechów, ale Czesi od początku to rozgraniczenie traktowali jako prowizoryczne.

„(...) Tymczasowe „porozumienie”, które osiągnął Zemský Národní Výbor z Polakami na Śląsku Cieszyńskim, nie może być postrzegane inaczej niż tylko krótkotrwałe prowizorium i tak też zapewne sprawę rozumiano. Nam należy się cały Śląsk i ten

też w całości dostaniemy” - pisał autor artykułu „O Śląsk Cieszyński” zamieszczonego w czeskim tygodniku „Obrana Slezska” wydawanym w Orłowej.

Dla Czechów solą w oku było przejmowanie przez Radę Narodową kolejnych gmin, zacieśniające się jej związki z rządem warszawskim, które strona czeska uznawała za łamanie umowy z 5 listopada 1918 r. i trwające przygotowania do wyborów do Sejmu Ustawodawczego.

Halina Szotek przypomniała, że „30 listopada 1918 roku Karel Locher, konsul przy Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, przedstawił notę rządu czechosłowackiego, w której wyrażano protest z powodu wykonywania suwerenności polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Do czasu podjęcia przez konferencję pokojową decyzji w sprawie przynależności politycznej Śląska Cieszyńskiego żądano uznania na tym terytorium suwerenności państwa czechosłowackiego”.

Jednocześnie Czesi prowadzili zabiegi dyplomatyczne z przychylną im Francją o wsparcie ich dążeń do zajęcia całego Śląska Cieszyńskiego.

„Tymczasem rząd polski granicę na Śląsku Cieszyńskim zamierzał uregulować na drodze dwustronnego porozumienia z Czechosłowacją. Informacje, które Rada Narodowa przekazywała rządowi Jędrzeja Moraczewskiego, nie rokowały nadziei na kompromisowe rozwiązanie tej kwestii. Wskazywano na możliwość zajęcia Śląska Cieszyńskiego przez wojska czechosłowackie” - napisała Halina Szotek.

Ostatecznie polskie zabiegi zawierające propozycję powołania polsko-czechosłowackiej komisji mającej uregulować wszystkie problemy powstałe w wyniku rozpadu Austro-Węgier i sąsiedztwa obu państw spełżyły na niczym.

Rząd czechosłowacki oficjalnie zdementował informacje o zamiarach zbrojnego opanowania Śląska Cieszyńskiego, ale Czesi - grając na zwłokę i usypiając czujność Polaków - opracowywali plany militarnego zajęcia całego Śląska Cieszyńskiego i jednocześnie próbowali przekonać do swoich planów wobec tego regionu państwa Ententy, zapewniając, że tylko oni są w stanie przeciwdziałać bolszewizmowi zagrażającemu Europie. Ze swoimi siłowymi planami zajęcia regionu przestali się ukrywać na przełomie roku, przyznał



Wkroczenie wojsk polskich do Cieszyna po rozejmie z Czechami, który został podpisany 3 lutego 1919 roku

to w orędziu noworocznym prezydent Tomáš Masaryk.

Płk Franciszek Ksawery Latinik, który doświadczenie wojaskowe zdobywał jeszcze w Armii Austro-Węgier, zaniepokojony koncentracją wojsk czechosłowackich na linii rozgraniczającej strefy czeską i polską, wydał w grudniu 1918 r. rozkaz dotyczący obrony Śląska Cieszyńskiego.

Zapalnikami do rozpoczęcia działań wojennych przez Czechów stały się prowadzone przez stronę polską przygotowania do wyborów w podlegającej Radzie Narodowej części Śląska Cieszyńskiego.

„21 stycznia za pośrednictwem konsula Karela Lochera przekazano rządowi polskiemu memoriał na temat sytuacji politycznej na tym obszarze. Wskazano w nim, że Śląsk Cieszyński stanowi część państwa czechosłowackiego, a działalność Rady Narodowej określono jako „okupację”. Żądano od rządu polskiego wycofania znajdujących się na Śląsku Cieszyńskim polskich formacji wojskowych. Jednocześnie zapowiadano wkroczenie na Śląsk Cieszyński wojsk Ententy” - przypomniała Halina Szotek.

Mistyfikacja strony czeskiej

Kierujący czeską akcją wojaskową ppłk Josef Šnejdár, występując w mundurze francuskim, zwrócił się w imieniu Ententy do dowódcy okręgu śląskiego, płk. Latinika, z postulatem wycofania wojsk polskich. Ten jednak przejrzał mistyfikację strony czeskiej i po skontaktowaniu się ze sztabem głównym otrzymał rozkaz stawiania oporu.

Po rozpoczęciu ofensywy 23 stycznia Czesi zmusili Polaków do odwrotu w kierunku północnym i północno-wschodnim.

Ksiądz pastor Jan Unucka (Unicki) pisał w swoim pamiętniku: „Po południu w niedzielę zaroila się droga do Cieszyna wojskiem polskim. Jechały tabory, jechała artyleria. Ziemia była śniegiem pokryta, a mróz był tegi. Koniom trudno było ciągnąć pod górę po śliskiej drodze wozy pełne amunicji i ciężkie armaty. Konie ustawały (...). W poniedziałek, 27 stycznia ranekiem, nowy widok przedstawił się mieszkańcom miasta. Jak czarna rzeka płynęły drogą od Cieszyna tłumy ludności cywilnej. Rozpoznałem wiele znajomych twarzy. (...) Opowiadano

sobie: tego powieszono, tamtego porwano i nie wiadomo, co się z nim stało. Nie było w Skoczowie człowieka, który by nie drżał o życie kogo ze swoich bliskich”.

Wojna dotarła pod Kaplicówkę

Kulminacyjnym punktem wojny była bitwa skoczowska. Rozpoczęła się ona we wtorek, 28 stycznia.

Ks. Unicki wspominał, że dzień był mroźny, ale słoneczny. Przez cały czas trwało ostrzeliwanie przez Czechów polskich pozycji.

Na szczęście do Skoczowa nadeszły posiłki, m.in. kompania radomska 24. pułku, kompania kielecka 25. pułku, pluton z trzema karabinami maszynowymi i 3. batalion 28. pułku z Łodzi z plutonem karabinów maszynowych - łącznie 770 żołnierzy.

„W krytycznej chwili nadeszły posiłki z Łodzi. Z wagonów kolejowych na dworcu wysypali się bohaterscy chłopcy, aby tu, na naszej ziemi śląskiej, krew przelewać. Wróciła otucha w serca na ich widok. Byli umundurowani w sposób pruski. Cechowała ich wzorowa karność i zadziwiająca sprawność. Odbili długą, męczącą podróż, ale zamiast iść na odpoczynek, szli natychmiast na front do boju. Groźna sytuacja przynaglała” - relacjonował w swoim pamiętniku ks. Unicki.

Przez cały następny dzień trwał ostrzał artyleryjski pozycji wojskowych, zaś obrona frontu nad Wisłą przeplatana była wy-

padami i kontratakami na pojedynczych odcinkach.

Generalne natarcie - prawie na całym froncie od Strumienia aż po Ustroń - Czesi wykonali 30 stycznia. Atak na most kolejowy w Drogomyślu rozpoczął się po godz. 7.00. Batalion 8. Pułku Piechoty z Brna, wsparty artylerią i bronią maszynową, odrzucił polskich obrońców z przedmościa.

„Niezbędna była interwencja polskiego pociągu pancernego Hallerczyk, który ok. 10.30 ruszył z Chybia do kontrataku. Przybył w ostatniej chwili, żeby uratować obronę mostu” - napisał Daniel Korbel w artykule „Szarża Hallerczyka” zamieszczonym na portalu „Polska Zbrojna - Historia”.

To zaangażowanie pancerne go kolosa, który najpierw wygrał pojedynek z czeskim pociągiem pancernym o nazwie „Brno II”, wprowadzonym do walki przez mjr. Silvestra Bláhę, a później zmuszał do odwrotu czeskie oddziały, przyczyniło się do utrzymania frontu. Mimo zażartej ofensywy i licznej przewagi Czechów, Polakom udało się obronić umocnienia w miejscowościach Ochaby, Wiślica, Simoradz i Międzywieć. Ostatecznie czeska ofensywa utknęła.

Z uwagi na silny opór polskich oddziałów oraz nowe rozkazy z naczelnego dowództwa (wydane po ostrych naciskach Ententy) czeski ppłk Josef Šnejdár po godz. 20.00 zaproponował zawieszenie broni.

Propozycja rozejmu przyszła w ostatniej chwili, gdyż płk Latinik uznał bitwę za przegraną i już o godz. 18.00 wydał rozkaz o przygotowaniu do odwrotu na nową linię obrony na wschód od rzeki Wisły. Zawieszenie broni weszło w życie następnego dnia.

W bitwie pod Skoczowem zginęło 18 polskich żołnierzy, w całych walkach o Śląsk Cieszyński przeszło 100. Czeskie straty nie są znane.

W efekcie wojny Czechosłowacji powiódł się plan umiędzynarodowienia konfliktu, który stał się przedmiotem rozpoczętej 18 stycznia konferencji paryskiej. Jak podkreślają historycy, skutkiem konfliktu o Śląsk Cieszyński pomiędzy Polską a Czechosłowacją w latach 1919-1920 było dalsze pogorszenie stosunków między krajami. Gdy tylko nadarzyła się do okazja, Polska zaanektowała w 1938 r. Zaolzie. Ale to już nieco inna historia...

W EFEKCIE WOJNY CZECHOM
UDAŁO SIĘ UMIĘDZYNARODOWIĆ
KONFLIKT O ŚLĄSK CIESZYŃSKI,
STOSUNKI MIĘDZY OBU KRAJAMI
ULEGŁY DAŁSZEMU POGORSZENIU



GDYNIA, 3.02.2025 Grupa abordażowa z ORP Generał T. Kościuszko przejęła w Zatoce Gdańskiej wrogi statek. Spokojnie, to tylko ćwiczenia! Głównym celem ćwiczeń Marynarki Wojennej w operacji „Zatoka” jest ochrona wód Bałtyku i infrastruktury portowej m.in. przed możliwymi akcjami dywersyjnymi

REKLAMA0011263845

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

**DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO
AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W GDYNI
INFORMUJE,**

**ŻE OGŁASZA PIERWSZY USTNY PRZETARG NIEOGRANICZONY
NA NAJEM NIERUCHOMOŚCI**

**lokalu użytkowego nr 691 o pow. 38,50 m², usytuowanego na parterze
budynku Dedal, położonego przy ul. Gen. de Gaulle’a 5 w Malborku. KW
GD1M/00065497/2.**

Stawka wywoławcza: 1 030,00 zł netto Wadium: 3 090,00 zł

**Przetarg odbędzie się dnia 24.02.2025 r.: o godz. 10⁰⁰, w siedzibie OReg
AMW w Gdyni, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, sala konferencyjna (III piętro).**

Warunkiem dopuszczenia do uczestnictwa w przetargu jest wpłacenie wadium
w formie pieniężnej, w terminie do **20.02.2025 r.** na rachunek bankowy OReg
AMW w Gdyni w BGK 54 1130 1121 0006 5589 8520 0008.

Pełna treść ogłoszenia znajduje się na tablicy ogłoszeń OReg AMW w Gdyni
(I piętro) i na stronie www.amw.com.pl. Szczegółowych informacji dotyczących
przetargu udziela Dział ds. Nieruchomości OReg AMW w Gdyni przy
ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, I piętro pok. 130, tel. (58) 690-87-74, e-mail:
gdynia@amw.com.pl.

PRZETARG PRZETARG PRZETARG PRZETARG

Co masz zlecić
– zleć to nam

Tutaj zlecisz ogłoszenie!
Nie tylko dla Gdańska

ul. Połęża 3, 80-720 Gdańsk
58 3003 216
reklama.gdansk@polskapress.pl

REKLAMA0011264917

Starosta Człuchowski

informuje, że na tablicy ogłoszeń w siedzibie
Starostwa Powiatowego w Człuchowie,
przy ulicy Wojska Polskiego 1,
na stronie internetowej
<https://starostwo.czuchow.org.pl/>
oraz w Biuletynie Informacji Publicznej
<https://bip.powiatczuchowski.org.pl>
zamieszczono wykaz nieruchomości
przeznaczonych do oddania w dzierżawę.



BRUKSELA, 3.02.2025

**Nieformalny szczyt liderów
UE na temat
bezpieczeństwa.
Na zdjęciu:
premier Donald Tusk,
przewodniczący RE
Antonio Costa
i przewodnicząca KE
Ursula von der Leyen**

REKLAMA0011264793

**WYKAZ NIERUCHOMOŚCI KOMUNALNYCH
PRZEZNACZONYCH DO SPRZEDAŻY BEZ PRZETARGU**

Wójt Gminy Łęczyce, działając na podstawie art. 30 ust. 2 pkt 3 ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym (Dz.U. z 2024 roku, poz. 1465, 1572, 1907, 1940), art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2024 roku, poz. 1145, 1222, 1717, 1881), informuje, że na podstawie uchwały Rady Gminy Łęczyce nr VIII/57/2024 z dnia 4 listopada 2024 roku przeznacza się do sprzedaży bez przetargu działkę gruntu nr 123 o pow. 400 m², położoną w obrębie geodezyjnym Kisewo.

Cena netto działki została ustalona na kwotę 2 570,00 zł netto.

Dla przedmiotowej działki brak aktualnego planu zagospodarowania przestrzennego.

Zgodnie z obowiązującym studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Gminy Łęczyce działka ta stanowi tereny rolnicze. W ewidencji gruntów i budynków oznaczona jest symbolem dr – droga.

Działka zapisana jest w księdze wieczystej prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Wejherowie Wydział Ksiąg Wieczystych – nr KW GD1W/00065217/4.

Pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości przysługuje osobie, która spełnia jeden z warunków określonych w art. 34 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2024 roku, poz. 1145, 1222, 1717, 1881) i w wyznaczonym terminie złoży pisemny wniosek o jej nabycie po cenie podanej w wykazie.

Ostateczny termin składania pisemnych oświadczeń o pierwszeństwie nabycia nieruchomości upływa z dniem **21 marca 2025 roku.**

W przypadku niezgłoszenia się w podanym terminie osób uprawnionych działka zostanie sprzedana bez przetargu na rzecz właściciela nieruchomości przyległej w celu poprawy warunków zagospodarowania.

REKLAMA0011264791

**WYKAZ NIERUCHOMOŚCI KOMUNALNYCH
PRZEZNACZONYCH DO SPRZEDAŻY BEZ PRZETARGU**

Wójt Gminy Łęczyce działając na podstawie art. 30 ust. 2 pkt 3 ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym (Dz.U. z 2024 roku, poz. 1465, 1572, 1907, 1940), art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2024 roku, poz. 1145, 1222, 1717, 1881), informuje, że na podstawie uchwały Rady Gminy Łęczyce Nr VIII/58/2024 z dnia 4 listopada 2024 roku przeznacza się do sprzedaży bez przetargu działkę gruntu nr 124 o pow. 1200 m², położoną w obrębie geodezyjnym Kisewo.

Cena netto działki została ustalona na kwotę 7 710,00 zł netto.

Dla przedmiotowej działki brak aktualnego planu zagospodarowania przestrzennego.

Zgodnie z obowiązującym studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Gminy Łęczyce działka ta stanowi tereny rolnicze. W ewidencji gruntów i budynków oznaczona jest symbolem PsIII – pastwiska.

Działka zapisana jest w księdze wieczystej prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Wejherowie Wydział Ksiąg Wieczystych – nr KW GD1W/00044202/3.

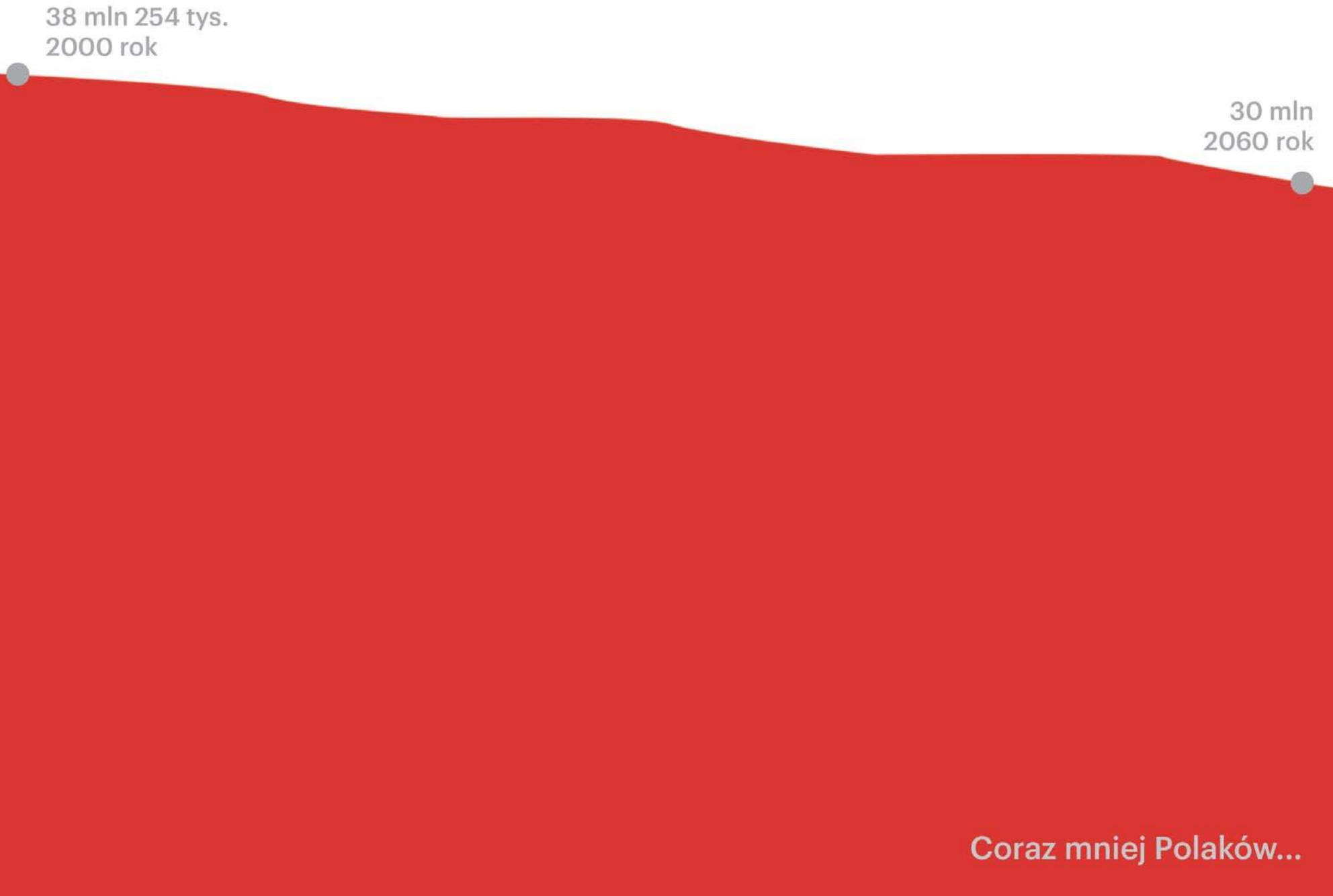
Pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości przysługuje osobie, która spełnia jeden z warunków określonych w art. 34 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. z 2024 roku, poz. 1145, 1222, 1717, 1881) i w wyznaczonym terminie złoży pisemny wniosek o jej nabycie po cenie podanej w wykazie.

Ostateczny termin składania pisemnych oświadczeń o pierwszeństwie nabycia nieruchomości upływa z dniem **21 marca 2025 roku.**

W przypadku niezgłoszenia się w podanym terminie osób uprawnionych, działka zostanie sprzedana bez przetargu na rzecz właściciela nieruchomości przyległej w celu poprawy warunków zagospodarowania.

PULS

#150



Od lat było źle, ale dzisiaj to już prawdziwa katastrofa. Liczba urodzeń w ubiegłym roku była w Polsce najniższa od zakończenia II wojny światowej. Starzeje się zresztą cała Europa. Dlaczego? Bo dłużej żyjemy, a na świat przychodzi coraz mniej dzieci, wiele osób wybiera też życie w pojedynkę, niektórzy mówią wręcz o „epidemii singlozy”. Ekspert nie są optymistami: to w dużej mierze stały trend

DEMOGRAFICZNA ZAPAŚĆ. JESTEŚMY CORAZ STARSI

Dorota Kowalska



Młodzi ludzie coraz później podejmują decyzję o urodzeniu dziecka

Matylda: 28 lat, pracuje, spotyka się z przyjaciółmi, chodzi do kina, teatru, wieczorami słucha muzyki. Młoda kobieta, jakich tysiące. Od ponad dwóch lat jest z Kubą, ale, póki co, o ślubie nie myśli, tym bardziej o dzieciach. Wynajmują razem małe mieszkanie na Tarchominie, to jedna z dzielnic Warszawy. Rano dają sobie buziaka, biegną do swoich firm, w domu spotykają się pod wieczór.

- Młodzi ludzie chcą mieć dzieci, ale najpierw chcą trochę pożyć. Muszą też mieć warunki, by zapewnić takiemu dziecku dobre życie. Zazwyczaj młody człowiek idzie na studia, kończy je mając jakieś 25 lat i nie ma nic: ani własnego mieszkania, ani dobrej płatnej pracy - tak zaczyna. Oczywiście, studenci pracują, a nawet harują, jak podkreśla, ale z pensji stażysty w korporacji, kelnera w knajpie czy sprzedawcy w sieciówce trudno się utrzymać.

- Z obecnymi cenami mieszkań czy wynajmu, nie ma nawet mowy, żeby młody człowiek w wieku 25 czy 28 lat, zdecydował się na dziecko. Patrząc na Warszawę: wynajęcie mieszkania mającego około 64 metrów kwadratowych, to koszt między 5 a 6 tys. złotych z rachunkami. I nie mówimy tutaj o centrum, a to tylko wynajęcie. Ceny mieszkań też biją rekordy i nie zapowiada się, żeby miały spadać, więc o kupnie czegoś swojego lepiej zapo-

mnąć, chyba że ma się bogatych rodziców, albo dostanie spadek - tłumaczy. - Zakładanie rodziny bez tak podstawowych rzeczy, jak własne mieszkanie bądź wynajem w stabilnych warunkach, kiedy mamy pewność, że po roku właściciel nie rozwiąże umowy, jest nieodpowiedzialne. Posiadanie dzieci to w dzisiejszych czasach „dobro luksusowe”, niestety - wzrusza ramionami.

Poza tym, jak tłumaczy, zmieniła się mentalność -

przede wszystkim kobiet. W Polsce panowało przekonanie, że rolą kobiety jest wychowywanie dzieci, sprzątanie domu, gotowanie. To mężczyzna ma zarabiać, to on jest panem domu.

- To myślenie na szczęście zaczęło się powoli zmieniać. Kobiety, zanim pomyślą o rodzicielstwie, chcą się rozwijać, pracować, realizować swoje hobby, spełniać swoje marzenia - także te, których realizacja byłaby ograniczona przy wychowywaniu dzieci - mówi. To nie tylko jej zdanie. Ma znajomych, nikt z jej paczki nie założył jeszcze rodziny, nikt nie ma dzieci. I, szczerze mówiąc, to nie jest ich plan na najbliższą przyszłość.

To widać we wszystkich dostępnych danych. Od lat było źle, ale dzisiaj to już prawdziwa katastrofa. Jak podaje GUS, liczba ludności Polski na koniec 2024 roku spadła poniżej 37,5 mln osób, a liczba urodzeń w ubiegłym roku była najniższa od zakończenia II wojny światowej. Tak zwane stopa ubytku rzeczywistego wyniosła -0,39 proc., a to oznacza, że na każde 10 tys. ludności ubyło około 39 osób (w 2023 roku - 34 osoby).

Ze wstępnych szacunków wynika, że w 2024 rok zarejestrowano około 252 tys. urodzeń, o ponad 20 tys. mniej niż w poprzednim roku i jest to najniższa liczba urodzeń odnotowana w całym okresie powojennym. W tym samym okresie zmarło w Polsce ponad 338,8 tys. osób, czyli o około 2 tys. więcej niż w analogicznym okresie 2023 roku. Wniośki? Ujemny przyrost naturalny, czyli różnica między liczbą urodzeń żywych i zgonów ogółem.

Ten trend widoczny jest od około 30 lat, stąd mówimy już o zjawisku depresji urodzeniowej. Współczynnik dzietności obniżył się z 1,26 w 2022 roku do 1,16 w 2023 roku, a to, najkrócej mówiąc oznacza, że na 100 kobiet w wieku rozrodczym (15-49 lat) przypadało 116 urodzonych dzieci. Optymalna wielkość tego współczynnika, która jest korzystna dla stabilnego rozwoju demograficznego, to 2,10-2,15, wtedy na 100 kobiet w wieku 15-49 lat przypada średnio co najmniej 210-215 urodzonych dzieci w ciągu roku.

„Obserwowane procesy demograficzne wskazują, że sytuacja ludnościowa Polski pozostaje trudna. W najbliższej przyszłości nie należy oczekiwać istotnych zmian gwarantujących stabilny rozwój demograficzny. Niski poziom dzietności, utrzymujący się od trzech dekad, będzie miał negatywny wpływ także na przyszłą liczbę urodzeń, z uwagi na zmniejszającą się liczbę kobiet w wieku rozrodczym” - pisze GUS. I dalej: „Zjawisko to nasila się również w wyniku utrzymującego się

od wielu lat wysokiego poziomu emigracji Polaków za granicę (szczególnie dotyczy to emigracji czasowej ludzi młodych). Niski poziom dzietności i urodzeń, przy jednoczesnym wydłużaniu się przeciętnego trwania życia, wpływa na coraz szybsze starzenie się społeczeństwa poprzez m.in. wzrost liczby i udziału najstarszych grup wieku ludności w ogólnej populacji - w 2023 r. grupa wieku 80 lat i więcej liczyła ponad 1,6 mln osób, tj. prawie 5 proc. ludności Polski (w 2010 r. było to 1,3 mln osób, tj. ponad 3 proc., a w 2000 r. - 770 tys. - 2 proc. populacji)” - dodał GUS.

Według szacunków Ministerstwa Finansów w 2029 roku populacja Polski spadnie do 36,574 mln.

Oczywiście są kraje, gdzie sytuacja wygląda jeszcze gorzej. W Chinach w 2023 roku urodziło się 9 mln osób, a zmarło 11,1 mln, a to daje przyrost naturalny na poziomie -2,1 mln osób. Tyle tylko że populacja Chińczyków liczy niemal 1,4 mld!

Drugie miejsce w tym zestawieniu przypada Japonii. W 2008 roku Kraj Kwitnącej Wiśni zamieszkiwało 128 mln osób, dzisiaj Japończyków jest o 3 mln mniej. Prawie jedna trzecia obywateli tego kraju ma ponad 65 lat.

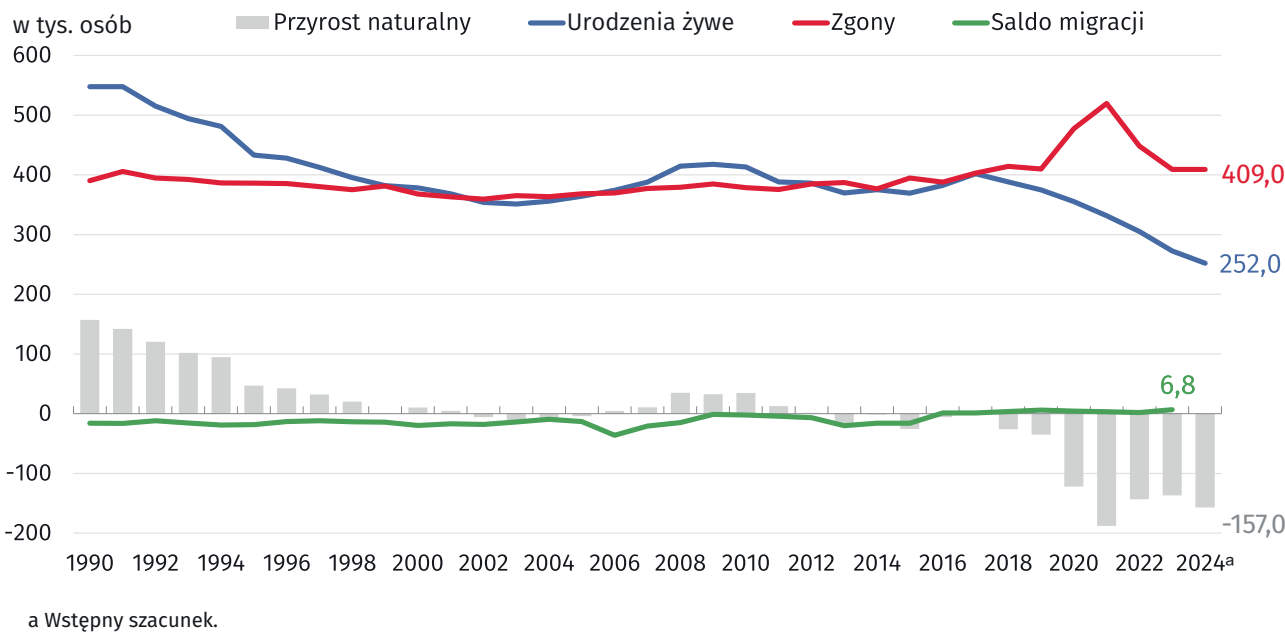
Dalej jest Rosja, dwa lata temu przyrost naturalny w tym kraju wyniósł około pół miliona na minusie. Źle jest w Niemczech, Włoszech - na piątym miejscu w tym rankingu uplasowała się Polska. Depcze nam po piętach pogrążona w kryzysie demograficznym Korea Południowa, potem jest Hiszpania, Rumunia, Tajwan, Węgry, Białoruś, Bułgaria.

Coraz dłużej żyjemy

Czy można się było spodziewać tej demograficznej zapaści? Tak.

„O ludności żadnego innego kontynentu nie można by z równą siłą powiedzieć, iż jest „stara”. W 2005 roku, choć to nie był kres „zestarczenia” Europy, blisko 21 procent Europejczyków przekroczyło 60. rok życia, a niemal połowa mieszkańców kontynentu - 40. rok życia. Dla porównania, jedynie co dwudziesty Afrykanin był co najmniej sześćdziesięcioletkiem, natomiast połowa ludności Afryki nie osiągnęła 20 lat. Między tymi „skrajnościami” znajdowała się ludność Ameryk, Azji i Oceanii. Europejczycy są nie tylko przeciętnie „starsi” od mieszkańców innych części Ziemi. Zróżnicowanie zjawiska starości demograficznej między krajami Europy jest tak niewielkie, że niemal każda z europejskich populacji jest „starsza” od populacji każdego z pozostałych kontynentów. Takie wewnętrzne podobieństwo ludności europejskiej stanowi jej uderzającą cechę.

Ruch naturalny ludności



Prognozy GUS wskazują, że do 2060 r. liczba ludności Polski zmniejszy się do ok. 30 milionów osób

Starzenie się populacji to proces - rzecz by można - dziejowy, dostrzegany jedynie w perspektywie długookresowej, wielopokoleniowej. Choć uzasadnienie tego pojawi się nieco później, starzenie wynika niemal wyłącznie z dwóch innych zjawisk - spadku płodności i wydłużenia średniego trwania życia (spadku umieralności)" - pisał już ponad dekadę temu prof. Marek Okólski, wybitny polski demograf i ekonomista, profesor zwyczajny w Ośrodku Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego w swojej pracy „Wyzwania demograficzne Europy i Polski”.

Wydłużenie średniego wieku życia związane jest przede wszystkim z postępem medycyny, ale też z tym, że jesteśmy bardziej świadomi, bardziej o siebie dbamy. Z kolei spadek płodności nie wiąże się tylko z czystą ekonomią, o czym mówiła Matylda, bo młodych ludzi często po prostu nie stać na samodzielność. Inna jest też ich mentalność.

- Młodzi ludzie nie myślą o zakładaniu rodziny, bo to odpowiedzialność, zobowiązania finansowe, zmiana stylu życia - mówi psycholog Maria Rotkiel. - Młode pokolenie, obecnych dwudziesto-, trzydziestolatków zostało wychowane w etosie pracy i obowiązków. Miało przed sobą obraz ciężko pracujących rodziców, rozdrażnionych swoim życiem, umęczonych codziennością, kredytami, odkładających cały rok na wczasy w Międzyzdrojach. Oni nie chcą tak funkcjonować - dodaje psycholog.

Młode pokolenie, zwłaszcza pokolenie Z, chce się cieszyć życiem, to takie wolne duchy.

- Młodzi ludzie chcą inwestować w swój rozwój, przyjemności, żyją tu i teraz. Chcą podróżować, poznawać nowe kraje, nowych ludzi, chcą pra-

cować zdalnie, może w Polsce, a może za granicą, spotykać się z przyjaciółmi. Chcą być wolni, mobilni - wylicza Maria Rotkiel. Nie chcą się wiązać: żadnych długoterminowych kredytów, czy najmów.

- Co ciekawe, w swoich przekonaniach i działaniach są konsekwentni, co, na swój sposób, świadczy o ich dojrzałości - uważa psycholog. - Bo nie ma nic gorszego niż zakładanie rodziny bez świadomości, z czym to się wiąże. Czy to stała tendencja? Myślę, że u części z nich tak. Czy możemy mieć o to do młodych ludzi pretensje? Myślę, że nie. Chociaż dla naszych przyszłych emerytur, to nie najlepiej - wzrusza ramionami.

Młodzi stawiają na siebie

Agnieszka, 34 lata, matka dójki dzieci: 5-letniego Leona i kilkuniesięcymiesięcznej Amelki. Wciąż na urlopie macierzyńskim, ale i tak zabiegana. Rano zaprowadza Leona do przedszkola, potem wraca do domu: gotuje, sprząta, zajmuje się Amelką, o godz. 16.00 biegnie po Leona. Tak naprawdę nie ma czasu na nic: rzadko spotyka się z przyjaciółmi, każdy dzień podporządkowany jest dzieciom. Trochę lepiej jest w weekendy, ale wtedy też idą z Leonem i Amelią na basen, plac zabaw, do przyjaciół.

- Myślę, że nie chodzi tu o brak mieszkania, pieniędzy, bo z tym można dać sobie jakąś radę. Myślę, że moi rówieśnicy nie chcą po prostu brać na siebie tej odpowiedzialności, nie chcą zmieniać swojego życia o 180 stopni, a pojawienie się dziecka tak właśnie życie zmienia - tłumaczy. - Już nie myślisz o sobie, tylko o nich. Pod dzieci układasz plan dnia, weekendu, urlopu. Wielu moich znajomych nie ma na to ochoty, chcą

żyć pełną piersią, dla siebie - dodaje. I przyznaje, że to na nią spada większość obowiązków. Mąż jedzie do pracy, ona zostaje z dziećmi. Wraca zmęczony, i trudno mu się dziwić, zajmuje się maluchami, a po chwili zasypia na kanapie.

- W praktyce opieka nad dzieckiem spada na kobiety, w ich życiu zmienia się wszystko. Dlatego nie decydują się na dziecko, a jeśli już to na jedno. Nie mają alternatywy - przyznaje dr Jowita Radzińska, socjolożka ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. - Kolejna sprawa: w Polsce kobiety mogą sobie pozwolić na luksus rocznego urlopu macierzyńskiego, ale w tym czasie świat pędzi na przód, a one zostają same. Niby spotykają się z koleżankami, ale coraz rzadziej, niby odwiedza je rodzina, ale tak naprawdę nie mogą liczyć na żadne grupy wsparcia. Poza tym, przez lata nie zrobiono nic sensownego w kwestii polityki rodzinnej - dodaje socjolożka.

Tymczasem młodzi ludzie nie mają ochoty zostawać w tyle, zamykać się w czterech ścianach.

Z europejskiego badania „Zdrowie emocjonalne osób z pokolenia Z i milenialsów, co porusza młode Europejki i młodych Europejczyków”, przeprowadzonego w czerwcu 2023 roku przez firmę Merck, wynika, że pokolenie Z i milenialsi stawiają dziś na relacje osobiste, zdrowie emocjonalne i fizyczne. Te wartości są dla nich najważniejsze w życiu i pracy, dla młodych Polaków i Polek - nawet bardziej niż dla pozostałych Europejczyków.

Liczy się dla nich kontakt z drugim człowiekiem, ale taki twarz w twarz, nie wirtualny, tworzony w mediach społecznościowych, na Facebooku,

grupach dyskusyjnych, czy platformie X (dawniej Twitter).

Młodzi wiedzą, że ważna jest kondycja fizyczna, zdrowie, dlatego dbają o odpowiednią ilość snu i odpoczynku (79,2 proc.), regularnie ćwiczą, biegają, jeżdżą na rowerze (76,5 proc.), wdrażają zdrowe nawyki żywieniowe i odpowiednią dietę (66,1 proc.).

Boją się chorób nowotworowych. Ponad połowa badanych, gdyby miała taką moc, wyeliminowałaby zachorowania na raka. Przedstawiciele pokolenia Z i milenialsi nadmiar pieniędzy przeznacziliby z chęcią na badania medyczne i opracowanie innowacyjnych metod leczenia (37,2 proc.), kampanie edukacyjne dotyczące profilaktyki zdrowotnej (28,6 proc.), przyspieszenie wdrażania medycyny personalizowanej, dostosowującej terapię do indywidualnych cech pacjenta, w tym uwarunkowań genetycznych czy środowiskowych (22,9 proc.).

Mają plan na swoje zawodowe kariery, bo praca jest dla nich ważna. Oczekują w niej dobrej atmosfery (90 proc. badanych), możliwości zachowania równowagi między życiem prywatnym i zawodowym (86 proc.), zaufania, wsparcia i nowych wyzwań (85 proc.) oraz możliwości awansu i dalszego rozwoju (82 proc.).

Wspominała już o tym Maria Rotkiel, młodzi nie chcą pracować jak ich rodzice: nie stają do wyścigu szczurów. Nie zamierzają pracować po dwanaście godzin dziennie, poświęcać na pracę wolne weekendy, tylko dlatego, że są młodzi, a „tacy muszą zasować więcej”. Nie przekonują jej argumenty w stylu: „za moich czasów pracowało się po szesnaście godzin, żeby być coraz lepszym”. Może kiedyś tak było, ale dzisiaj każdy wie, że praca to nie

wszystko. Można być dobrym, nawet najlepszym i dzielić czas między życie zawodowe, odpoczynek, przyjemności. Oczywiście trzeba być elastycznym, ale w granicach rozsądku.

Chcą pracować w takim miejscu, które umożliwia im rozwój, tak fizyczny jak psychiczny, wśród przyjaznych ludzi kierujących się w życiu takimi wartościami, jak oni. Wtedy są lojalni.

Zmienia pracę, jeśli towarzyszy jej zła atmosfera (74,7 proc. wskazań), nie ma przejrzystej ścieżki awansu i rozwoju (53,5 proc.), brakuje równości, różnorodności i inkluzywności (49,3 proc.) Oczywiście dobra oferta konkurencji zawsze jest pokusą.

Sami jako szefowie postawiliby na wprowadzenie programów służących poprawie zdrowia fizycznego i emocjonalnego pracowników (75,7 proc. odpowiedzi), wspieranie młodych talentów (59,6 proc.) oraz inwestycje w innowacje (50,2 proc.).

Przybywa singli

Mateusz, 38 lat, inżynier eksploatacji pojazdów samochodowych, pracuje jako przedstawiciel handlowy, żona Ewa jest wziętą księgową. Mają syna. Oboje są bardzo aktywni poza pracą: chodzą po górach, jeżdżą na rowerach, podróżują. Często wychodzą ze znajomymi, raz w miesiącu muszą iść do teatru albo kina. Nie myślą o drugim dziecku.

- Pewnie, że Maćkowi byłoby różniej, ale jakoś się nie złożyło. Dużo z żoną pracujemy, w weekendy właściwie zawsze gdzieś wyjeżdżamy. Dziecko to jednak wyrwa w życiu. A my, mimo wszystko, chcieliśmy i chcemy się realizować. Poza tym, w tym momencie, to chyba już trochę za późno - wybucha śmiechem.

Co jest dla niego w życiu najważniejsze?

Zdrowie rodziny, oczywiście, poza tym, chce być szczęśliwy i mieć co wspominać na starość. Chce cieszyć się życiem i czerpać z niego, ile się da. Robić rzeczy, które lubi, które sprawiają mu radość. Na koniec przytacza cytat ze swojego ulubionego filmu „Chłopaki nie płaczą”. Mówi, że te słowa padają w dość groteskowej sytuacji, ale są bardzo prawdziwe: „Wystarczy, że odpowiesz sobie na jedno ważne pytanie: co lubię w życiu robić? A potem zacznij to robić”.

- Mamy wielu przyjaciół, właściwie żadna z par nie ma więcej niż dwoje dzieci, wielu naszych znajomych, to single - dorzuca jakby na swoje usprawiedliwienie.

A to już kolejna sprawa: w Polsce mamy obecnie około osiem milionów singli, a z badań naukowców z Politechniki Warszawskiej wynika, że w 2030 roku będą oni

stanowić aż 36 proc. wszystkich dorosłych w kraju. Niektórzy eksperci twierdzą nawet, że jesteśmy już świadkami „epidemii singlozy”. Ale też małżeństwo nie jest już postrzegane jako obowiązek, ale jako wybór. Tymczasem, młodzi ludzie żyją w przekonaniu, że trwały związek wcale nie musi zapewnić im szczęścia i spełnienia. Poza tym, o czym już było, są bardziej skoncentrowani na samorealizacji, karierze zawodowej, rozwoju osobistym, relacji z innymi. Wielu z nich ma także złe doświadczenia związane z trwałymi związkami nie tylko swoimi, ale też tymi rodziców, znajomych czy przyjaciół.

Oczywiście bycie singlem nie wyklucza bycia rodzicem, ale samotnym matkom czy ojcom jest na pewno trudniej.

Czy powinniśmy się bać? I kto będzie się opiekował starzejącym się społeczeństwem? Kto będzie na niego pracował?

- To nie jest tak, że Polska nagle się wyludni, to raczej pytanie o to, jak Polska będzie się zmieniać. Jesteśmy już regionem świata, który przyciąga ludzi chętnych do życia w naszym kraju. Więc pytanie jest nie o to, czy Polska zmieni się w pustynię, bo nikt nie będzie chciał tu mieszkać, a my wszyscy wymrzymy, a o to, jak będzie się zmieniać polskie społeczeństwo. Wolelibyśmy, żeby w Polsce żyło mimo wszystko jak najwięcej Polaków, żeby urodzić było jak najwięcej. Imigranci niech do nas przyjeżdżają, jak najbardziej, ale niekoniecznie na zasadzie, że Polaków jest coraz mniej, to trzeba ich zastąpić przez kogoś innego - mówi prof. Witold Orłowski, ekonomista i publicysta.

- Tylko kto będzie wtedy pracował na emerytów czy osoby starsze? - dopytuje.

- Owszem, obserwujemy proces starzenia się społeczeństwa, co związane jest głównie z tym, że ludzie żyją dłużej, nawet nie z tym, że rodzi się mniej dzieci. Większa liczba dzieci nie rozwiąże tego problemu. Trzeba będzie poszukać innych rozwiązań. W gospodarce jest coraz więcej możliwości zastępowania pracy ludzi przez maszyny, obserwujemy rozwój sztucznej inteligencji, więc nie ma co panikować. Natomiast ewidentnie zdrowsze jest społeczeństwo, które się nie kurczy, które się rozwija. Może nie w gwałtownym tempie, ale w takim, w którym przyrost demograficzny pozwala na to, aby nie zmniejszała się liczba mieszkańców - tłumaczy prof. Orłowski.

Czy możemy zmienić ten trend? Walczyć ze starzejącą się Polską, starzejącą się Europą? Na pewno nie będzie to łatwe, są tacy, którzy mówią: to właściwie niemożliwe.

Stany Zjednoczone nałożyły cła na Chiny, Kanadę i Meksyk. Wprowadzie te dla Meksyku i Kanady opóźniono o 30 dni, ale co to właściwie oznacza dla gospodarki?

Dla gospodarki to oznacza same złe rzeczy.

To znaczy?

Jeśli by rzeczywiście doszło do wojen handlowych - a nie wiadomo, bo opóźnienie nałożenia cła na Meksyk i na Kanadę oznacza, że prezydent Trump może te groźby traktować tylko jako środek nacisku w negocjacjach - ale gdyby do tego doszło, to jest fałszywa recepta na problemy gospodarcze. I wiadomo o tym już od 200 lat. Dlaczego? Bo jeśli jeden kraj podnosi cła na towary z drugiego kraju, to oczywiście teoretycznie służy to jego producentom: więcej sprzeda się towarów krajowych, mniej będzie się importować, w kraju będzie lepiej. Ale to działa tylko do czasu, dopóki drugi kraj w odpowiedzi nie podniesie cła na produkty z tego pierwszego kraju. Wtedy spada eksport i kraju pierwszego do drugiego, i drugiego do pierwszego. Co dzieje się dalej? Ponieważ krajowi nie idzie, nie osiągnął celu, znowu podnosi cła - i tak spirala się nakręca. Wojna handlowa, czy też wojna celna, może prowadzić do katastrofalnego spadku eksportu. Dam przykład: niecałe 100 lat temu coś takiego już się stało. W roku 1930 Stany Zjednoczone też jako pierwsze podniosły cła na towary europejskie. Potem zaczęło się obustronne podnoszenie cła i w ciągu trzech lat doprowadziło to do spadku światowego handlu wartościowo o 60 procent. Cały świat na tym stracił, pogłębiła się recesja. Oczywiście Stany Zjednoczone odczuły to równie mocno jak wszystkie inne kraje, bo żył się na współpracy, a na wojnie handlowej się traci.

Panie profesorze, proszę wytłumaczyć: dlaczego podnoszenie cła wpływa na to, że sytuacja gospodarcza się pogarsza i dla jednego, i dla drugiego kraju?

Tę kwestię ponad 200 lat temu wytłumaczył David Ricardo, i wszyscy znający ekonomię się z tym zgadzają. Donald Trump ewidentnie nie zalicza się do znających ekonomię, zna biznes, natomiast nie rozumie działania całej gospodarki. Ricardo stwierdził, że jeśli pozwalamy na swobodne wymienianie się towarami przez dwa kraje - oryginalnie pokazał to na przykładzie Portugalii i Anglii - to wówczas te kraje zaczynają specjalizować się w produkcji tego, co umieją robić najlepiej. Każdy kraj ma przecież swoje specjalności. I okazuje się, że jeśli dany kraj zamiast produkować wszystko, produkuje więcej tego, co produkuje

– Donald Trump mówi: „Nie chcę już pilnować porządku, jestem najmocniejszy, będę się po prostu bić z innymi.” Świat jest przez to mniej bezpieczny. Czy to zachęci do bójki innych? Oczywiście. Mogą teraz myśleć: „Jak nie ma tego silniejszego, który dawniej pilnował porządku, to znajdę kogoś wystarczająco słabego, żeby mu przyłożyć” – mówi prof. Witold Orłowski, ekonomista, publicysta

Dorota Kowalska



Prof. Orłowski: Dwudziestu trzech amerykańskich noblistów z ekonomii napisało cztery miesiące temu list z ostrzeżeniem, że to, co proponuje Trump, będzie gospodarczo szkodliwe dla Stanów Zjednoczonych. Natomiast nic nie wiadomo o tym, żeby jakkolwiek znany ekonomista mu doradzał

PROF. ORŁOWSKI: DONALD TRUMP LUBI TAKĄ GRĘ, POJEDYNEK BOKSERÓW WAGI SUPERCIEŻKIEJ

najlepiej, a nadwyżkę sprzedaje drugiemu krajowi, sam zaś importuje od niego te produkty, które tamten umie robić lepiej, sprzyja to rozwojowi gospodarki obu krajów. Jeśli każdy się wyspecjalizuje, te same produkty można wytwarzać taniej, bo maleją koszty produkcji, przy dłuższych seriach spada cena jednostki produkcji. Więc na takiej wymianie zyskują oba kraje, a dziś zyskuje cały świat. I odwrotnie: w momencie gdy pojawiają się bariery celne, to te lepsze, tańsze towary z innego kraju nie mogą wjechać do kraju podwyższającego cła, w związku z czym trzeba samemu te wszystkie towary wyprodukować. Pokazując absurd sytuacji, gdybyśmy wprowadzili w Unii Europejskiej odpowiednio wysokie cła na owoce tropikalne, to nasi rolnicy musieliby w szklarniach uprawiać banany, bo wprowadzie tańsze i lepsze są do ściągnięcia z Ameryki, ale byłyby obłożone wysokim cłem i bardzo drogie. To jest oczywiście przykład skrajny - w gospodarce nie chodzi tylko o owoce. Natomiast generalnie chodzi o specjalizację. Oczywiście, ważne, żeby wymiana była uczciwa, temu służą porozumienia zawarte na forum Światowej Organizacji Handlu. Każdy kraj musi też umieć się w nią włączyć. Bywają oczywiście sytuacje, kiedy jakieś państwo nie potrafi wyprodukować nic specjalnie atrakcyjnego dla reszty świata i ma z tego powodu deficyt handlowy. Ale z tym trzeba walczyć, zmieniając gospodarkę własnego kraju, a nie mówiąc: „Świat jest brzydki, podnosimy cła na wszystko”.

Czyby Donald Trump nie miał doradców? Bo amerykańskie media, nawet te bardzo konserwatywne, piszą o tym, że, cytując, to najgłupsza wojna handlowa w historii.

Powiedziałem już: wszyscy znający ekonomię wiedzą, że to głupstwo. Natomiast problem z podnoszeniem cła polega na tym, że jego efekty są trochę sprzeczne z naszą intuicją. Bo prosta intuicja mówi nam tak: „Przecież to jasne, że jeśli podniesiemy w USA cła na towary meksykańskie czy na chińskie, to oni będą mniej do nas sprzedać, a za to nasi producenci zwiększą produkcję”. Tylko nie bierze się pod uwagę paru ważnych kwestii. Po pierwsze, że Chiny też w odpowiedzi podniosą cła na towary amerykańskie albo w inny sposób utrudnią ich dostęp do swojego kraju. Po drugie - jeśli importowane towary będą wyżej oclone, to ich cena szybko wzrośnie. Wprowadzenie i utrzymanie tak wysokich cła na towary z Meksyku, Kanady i Chin, a potem może i z Europy, czyli na większość amerykańskiego importu, spowoduje skokowy wzrost inflacji w USA. Wzrosną ceny chiń-

skiej elektroniki, niemieckich aut, meksykańskiej żywności, kanadyjskich surowców, czyli wszystkiego, co te kraje sprzedają. Z drugiej strony, nawet jeśli amerykańscy producenci zastąpią z czasem chińskie czy meksykańskie produkty własnymi, to nie mają żadnego interesu, żeby sprzedawać je dużo taniej. Skoro meksykańskie produkty będą o 25 procent droższe, oni też będą drożej sprzedawać swoje własne. Więc inflacja jest dość oczywistym następstwem podniesienia ceł. Generalnie rzecz biorąc opowieść prezydenta Trumpa, że Stany Zjednoczone są krajem, który wszyscy oszukują w handlu i który na handlu z innymi krajami tylko traci, jest po prostu bzdurą. Przecież wiadomo, że Stany Zjednoczone są potęgą gospodarczą i polityczną, a nie biednym, wyzyskiwanym przez partnerów krajem. Ale problem z prezydentem Trumpem polega na tym, że kieruje się właśnie ową prostą intuicją: oni tracą – my zyskamy. Ma podejście biznesmena umiającego negocjować deale, a nie człowieka rozumiejącego ekonomię. Myśli kategoriami: „W handlu nie ma partnerów, są przeciwnicy. Jeśli utrudnię im życie, to wygram”. Tak to nie działa.

Ale powtórzę pytanie: Trump nie ma doradców, ekonomistów?

Po pierwsze – chyba nie ma. Dwudziestu trzech amerykańskich noblistów z ekonomii napisało cztery miesiące temu list z ostrzeżeniem, że to, co proponuje Trump, będzie gospodarczo szkodliwe dla Stanów Zjednoczonych. Natomiast nic nie wiadomo o tym, żeby jakikolwiek znany ekonomista mu doradzał. Zawsze znajdują się jacyś ludzie chętni doradzać prezydentowi Stanów Zjednoczonych, ale niekoniecznie rozumiejąc gospodarkę. Ale to jest tylko pierwsza część odpowiedzi, bo druga część odpowiedzi na to pytanie jest taka, że może Donald Trump doskonale wie, co robi, i może ma wokół siebie rozsądnych doradców. Wiadomo, że Stany Zjednoczone mają różne interesy gospodarcze. Trzeba przypilnować Chiny, żeby nie kopiowały amerykańskich produktów, skłonić Europę, by kupowała więcej amerykańskiego gazu i ropy, zmusić Meksyk, by lepiej pilnował granicy, nie przepuszczając imigrantów. I bardzo możliwe – zwłaszcza w świetle opóźnienia wprowadzenia ceł wobec Meksyku i Kanady – że to chęć pokazania: „Mam miecz, ale go jeszcze nie używam”. Bardzo możliwe, że Trump traktuje te groźby jako narzędzie nacisku, aby inni ustąpili USA na różnych obszarach, a jeśli to się uda, to tych ceł ostatecznie nie wprowadzi. To byłby pozy-

tywny scenariusz. Oczywiście Stany Zjednoczone wymusiłyby ustępstwa w różnych obszarach, np. my musielibyśmy kupować więcej amerykańskiego gazu, droższego niż ten z Zatoki Perskiej, ale przynajmniej nie byłoby zapaści handlu światowego. Natomiast, czy tak jest – zobaczymy.

Działania Trumpa sprawiają, że Stany Zjednoczone mają coraz więcej wrogów. W Kanadzie w wielu prowincjach wycofuje się już ze sklepów amerykański alkohol, rządzącymi tymi prowincjami mówią: „To doskonały moment na promowanie naszych lokalnych produktów”. Więc to wszystko może się obrócić przeciw Stanom Zjednoczonym.

Donald Trump jest przekonany, że Stany Zjednoczone są najpotężniejszym krajem świata, którego nikt nie musi lubić, ale wszyscy powinni się go bać i szanować. To jego podejście: „America First. Nie obchodzi mnie, czy innym spodoba się to, co chcę osiągnąć, Ameryka nikogo się nie boi, Ameryka żadnych przyjaciół nie potrzebuje, a wrogom pokaże, co o nich myśli”. Czy to słuszne podejście? Niemiecki kanclerz Otto von Bismarck powiedział kiedyś w Reichstagu – kiedy zdawało się, że Niemcy będą najpotężniejszym gospodarczo krajem Europy – że „Niemcy boją się Boga i poza tym nikogo na świecie”. Potem jednak przyszły dwie wojny światowe i okazało się, że cały świat zjednoczony przeciwko Niemcom rozbił ich potęgę. To dobra lekcja: nie ma kraju tak potężnego, że mógłby powiedzieć: „Nie są nam potrzebni żadni przyjaciele, jesteśmy tak potężni, że zmusimy wszystkich do posłuchu. Nas interesuje tylko Ameryka, Ameryka First”.

Donald Trump grozi także wprowadzeniem ceł dla Unii Europejskiej. Co Unia może zrobić, żeby sobie z tym poradzić?

Unia jest, obok USA i Chin, trzecią największą potęgą gospodarczą na świecie. Unia też może się odgryźć, ale na pewno nie będzie chciała tego robić. UE jest bardziej uzależniona niż Stany Zjednoczone od eksportu, bardziej korzysta ze swej produkcyjnej specjalizacji. Więc oczywiście dla Unii Europejskiej wojna celna ze Stanami byłaby nieco

bardziej bolesna niż dla Stanów. Ale Unia też może boleśniej Stany Zjednoczone ukarać. Gdyby iść taką logiką, to Unia powiedziałaby tak: „Wy nie pozwalacie nam, to my nie pozwalamy wam. Będziemy ograniczać możliwości działania waszym wielkim firmom internetowym, będziemy na różne sposoby utrudniać im życie”. Czy to będzie dobre? Oczywiście, że nie. Unijni konsumenci na tym tracą. Natomiast jeśli Stany Zjednoczone zachowałyby się tak wobec Unii, to Unia miałaby powody podobnie zachowywać się wobec Stanów Zjednoczonych. Gdyby zaczęła się wojna handlowa, te trzy potęgi: Chiny, Unia, Stany Zjednoczone potrafiłoby się skutecznie odgryźć partnerom, i to doprowadziłoby do gospodarczej katastrofy. Nawet jeśli na początku Stany Zjednoczone, wybierając takie pole, na których mają najmniej do stracenia, czyli handel, odczułyby to mniej boleśniej niż pozostali dwaj partnerzy, to z czasem Unia i Chiny potrafiłyby wprowadzić również bolesne sankcje przeciwko firmom z USA, co byłoby światową katastrofą gospodarczą i polityczną. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie i że możemy tylko o bardzo twarde, nieprzyjemnych negocjacjach, które z pewnością nie przyniosą Stanem Zjednoczonym wielu przyjaciół na świecie.

Gdyby do takiej wojny jednak doszło, to jak odczuje ją zwykły obywatel? Na pewno wzrosną ceny niektórych produktów, ale co jeszcze?

Pytanie, jakiej skali byłaby to wojna. Gdyby to była pełnowymiarowa wojna, to nie skończyłaby się na wzroście cen, wtedy spadłyby też realne płace, w wielu krajach mogłoby dojść do wzrostu bezrobocia. Wszystko to, co przeciętnego Kowalskiego najbardziej interesuje na krótką metę, czyli jego dochody, ceny, czy jest ryzyko utraty pracy – to wszystko zmieniłoby się na niekorzyść. Powtórzę, że ból mógłby być różny zależnie od skali tej wojny. Cóż, wiek temu, podczas wojny handlowej, o której już mówiłem, doszło do katastrofalnych spadków produkcji na całym świecie, choć nie tylko z powodu wojny handlowej. Była to największa katastrofa polityczno-gospodarcza w histo-

rii. To ona wyniosła Hitlera do władzy i spowodowała załamanie światowej gospodarki. Nie twierdzę, że w tej chwili grozi nam coś podobnego, ale efekty wojny handlowej są te zawsze takie same: mniej pracy, niższe płace, wyższe ceny.

Czy ten pierwszy miesiąc rządów Donalda Trumpa odbił się jakoś na gospodarce? Jakie są nastroje gospodarcze na świecie, czy możemy to w jakiś sposób oceniać?

Na pewno ta sytuacja nie służy dobrze nastrojom. W Niemczech, które są jednym z największych eksporterów świata, nastroje uległy wyraźnemu pogorszeniu. One już były fatalne, a wybór Trumpa tylko je pogorszył. Złe nastroje w Niemczech przekładają się na stagnację lub wręcz recesję gospodarczą. To oczywiście uderza w całą Europę, również w Polskę, bo nasz eksport do Niemiec spada. Ale na krótką metę różnie to bywa. Na rynkach finansowych nie myśli się o tym, co będzie za dwa lata, myśli o tym, co dzieje się w tej chwili. Mocniejsza pozycja Stanów Zjednoczonych w negocjacjach oznacza, że dolar wzmacnia się wobec innych walut. Paradoksalne, ryzyko, że w Stanach Zjednoczonych może nastąpić przyspieszenie inflacji, oznacza również, że prawdopodobnie FED, amerykański bank centralny, podniesie stopy procentowe. Jeśli podniesie stopy procentowe, to inwestorzy będą kupować więcej amerykańskich obligacji, oczekując większych zysków. To też wzmacnia dolara. Ale to są efekty krótkookresowe, których nie należy łączyć z przekonaniem, że dzieje się dobrze. To, że dolar wzmacnia się w oczekiwaniu, że coraz bardziej prawdopodobne będą podwyżki stóp procentowych, wcale nie oznacza, że to jest dobra perspektywa dla amerykańskiej gospodarki, ale dla posiadaczy obligacji rządu USA w tej chwili jest to oczywiście korzystne.

Ale takie zagrożenie palcem może przynieść także coś dobrego? Mammy nieformalny szczyt Unii Europejskiej w Brukseli. Wiadomo, że będzie się na nim mówić także o tym, co planuje Trump i jak się na to przygotować.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, a każda zła rzecz może wywołać coś dobrego. Pytanie, jakim kosztem, na ile na serio Donald Trump chce wojny handlowej z Europą, bo już powiedziałem: to wcale nie jest pewne.

Pan uważa, że Trump tylko straszy?

Mówię zupełnie szczerze: nie wiem. Jest to równie prawdopodobne jak to, że wcale nie straszy. Tego nie wie nikt

na świecie, poza samym Trumpem. A być może on sam też tego jeszcze nie wie. Główny problem z Donaldem Trumpem polega na tym, że jest nieprzewidywalny. Nie to, że chce czegoś złego, tylko że jest kompletnie nieprzewidywalny. Oczywiście, koszty jego decyzji poniesiemy tak czy owak. Czy dojdzie do wojny handlowej, czy do niej nie dojdzie, ale w zamian za to będziemy zobowiązani kupować droższy gaz ze Stanów Zjednoczonych – w jakiś sposób za to zapłacimy. Czy w związku z tym Unia Europejska się przebudzi i stwierdzi, że trzeba być mocniejszym, sprawniejszym, bardziej zintegrowanym w działaniu? Bardzo bym chciał, ale to wcale nie jest pewne. Być może Unia Europejska zrozumie także, że musi bardziej dbać o swoje bezpieczeństwo, doprowadzić do wzmocnienia swojej obronności, a wtedy mniej będziemy się obawiać tego, co robi Putin.

Taka niepewność, która jest związana z Trumpem, chyba źle wpływa na gospodarkę, bo jeśli w gospodarce nie wiadomo, co będzie, to dzieje się źle.

Tak, dzieje się źle i widać to gołym okiem. Powiem żartobliwie, że połowa Amerykanów, ta, która głosowała na Trumpa, jest wciąż na haju, czeka na to, że Trump pokaże wszystkim, jak potężna jest Ameryka. Ale choć Stany Zjednoczone są jedną z największych gospodarek świata, nie wystarczy, by tam się działo dobrze, a na całym świecie zapanuje dobra koniunktura. Nastroje w większości krajów świata, zwłaszcza w Europie i w Chinach, są niedobre. Więc per saldo efekty polityki Trumpa są w tej chwili dla gospodarki światowej i dla nastrojów negatywne. Zresztą nawet połowa Amerykanów jest raczej zaniepokojona tym, co Trump chce zrobić, a nie szczęśliwa z tego powodu.

Nie ma pan takiego wrażenia, że te zapędy Trumpa, który chce Grenlandii, Kanału Panamskiego, Kanady, mogą być argumentem w rękach Chin czy Rosji? Bo Chińczycy mogą powiedzieć: „To nasz będzie Tajwan”, a Rosja może powiedzieć: „To nasza będzie Ukraina”.

Rosja nie jest żadnym mocarstwem gospodarczym, ona tylko chciałaby uchodzić za równego partnera USA, ale oczywiście nim nie jest, jest krajem bandyckim. I nie był jej wcale potrzebny Donald Trump, żeby zaatakować sąsiada. Z Chinami jest natomiast inna sprawa, bo to przeciwnik o znaczeniu globalnym. Donald Trump lubi taką grę, grę mocarstw – pojedynek bokserów wagi superciężkiej. Jest przekonany, że ma wszystkie atuty

i wygra ten pojedynek. Możliwe, że prowadzona w agresywny, ale nie skrajny sposób polityka Trumpa może przynieść Stanom Zjednoczonym znaczne korzyści, ale dla świata jest to coś złego. Świat był bezpieczniejszy wtedy, gdy Stany Zjednoczone były rodzajem gwaranta światowego bezpieczeństwa i promotorem rozwoju gospodarczego. Tak było przez kilkadziesiąt lat po drugiej wojnie światowej. Oczywiście najpierw musiały zmagać się ze Związkiem Radzieckim, potem z coraz silniejszymi Chinami, ale Stany Zjednoczone były tym krajem, który stabilizował gospodarczą i polityczną sytuację świata, był niejako stróżem porządku. W tej chwili Donald Trump mówi: „Nie chcę już pilnować porządku, jestem najmocniejszy, będę się po prostu bić z innymi”. Świat jest przez to mniej bezpieczny. Czy to zachęci do bójkii innych? Oczywiście. Mogą teraz myśleć: „Jak nie ma tego silniejszego, który dawniej pilnował porządku, to znajdę kogoś wystarczająco słabego, żeby mu przyłożyć”. Z kolei wielu Amerykanów może pomyśleć tak jak Trump: „Świat nas wykorzystywał, dlaczego mielibyśmy pilnować światowego porządku, skoro w naszym własnym interesie wystarczy samemu bić słabszych, którzy wchodzą nam w drogę”? Gdyby tak się stało, świat stałby się znacznie mniej bezpieczny. Wszystko zależy od tego, czy zmiana USA ze stróża światowego porządku w jednego z ulicznych bokserów to prawdziwy zamiar Trumpa, czy tylko gra, forma nacisku. Póki co sprawy idą w stronę co najmniej niepokojącą.

CV



FOT. DARIUSZ BŁOCH

Prof. Witold Orłowski Ekonomista, profesor nauk ekonomicznych, nauczyciel akademicki i publicysta. W latach 2002-2005 pełnił funkcję szefa zespołu doradców ekonomicznych prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Wchodził w skład Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Lechu Kaczyńskim, był też członkiem Rady Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku. Współpracował również z prezydentem Andrzejem Dudą.

„ZETKI” W PRACY. INSTRUKCJA OBSŁUGI

Pokolenie Z, czyli osób urodzonych po 1995 r., jest pierwszym w Polsce, które mówi jasno: pracujemy po to, by żyć, a nie odwrotnie jak nasi rodzice. Co zatem trzeba wiedzieć, aby zatrudnić i utrzymać „Zetkę” w pracy?

Małgorzata Oberlan

Ci najmłodszy wchodzący na rynek pracy nie pracują już w kulturze zapieprzania, jeżeli tak to mogę określić. Tu już nie ma tego zamordyzmu, który był i jest widoczny w pokoleniach starszych. Teraz młody jest w pracy od 8.00 do 16.00. Potem: „dziękuję, wychodzę” – opisuje stan rzeczy Kuba, 27-latek.

Kuba to jeden z respondentów, którzy wzięli udział w badaniu pokolenia Zet na rynku pracy, zleconym przez Wojewódzki Urząd Pracy w Toruniu. Przedsiębiorstwa i urzędy, które chcą znaleźć i zatrzymać u siebie na dłużej młodego pracownika, powinny zajrzeć do raportu z tych badań. „Ocena i analiza sytuacji osób młodych na kujawsko-pomorskim rynku pracy” daje do myślenia. Blisko 100-stronicowy raport to ciekawa lektura wprowadzająca starszych w egzotyczny świat pokolenia Zet. A jednocześnie – swoisty instruktaż obsługi „Zetek” w pracy.

Priorytety dla pokolenia urodzonych po 1995 r.

„Zetki” to osoby urodzone po 1995 r. Najstarsze z nich dobiegają właśnie do trzydziestki i już rozgościły się na rynku pracy. Najmłodsze dopiero na niego wkraczają. Co jest dla nich absolutnie najważniejsze w pracy?

Po pierwsze, z pracy zawodowej chcą czerpać satysfakcję. Tym już pracującym najbardziej zależy na dobrym wynagrodzeniu. Niezwykle ważne są dla nich także szacunek i zrozumienie ze strony przełożonych. Młodzi bardzo obawiają się lekceważenia – to przewija się jak mantra w całym opisywanym badaniu. Na dalszym miejscu, ale jednak wśród priorytetów, „Zetki” wymieniają przyjazne relacje między współpracownikami.

Poszczególne grupy respondentów – pracujących, uczących się, bezrobotnych i biernych zawodowo – nie różnią się między sobą istotnie pod względem badania – zaznaczają autorzy raportu. Priorytety mają wspólne.

Wyplata. „Tyle samo za mycie WC co za pracę biurową”

„Zetki” w Kujawsko-Pomorskim i całym kraju postrzegane są przez pracodawców jako osoby roszczeniowe i niezadowolone z wysokości wynagrodzenia. W opisywanym badaniu swoje wynagrodzenie za niesatysfakcjonujące uznają 40 procent młodych.

Wchodzący na rynek pracy najczęściej zmuszeni są zaczynać od płacy minimalnej. Młodzi widzą, że na początku kariery zawodowej ich wykształcenie i kwalifikacje nie mają wpływu na wysokość pensji. Inie kryją goryczy.

– W dzisiejszych czasach tyle samo dostaje się za mycie toalet, co za pracę na jakimś stanowisku biurowym, gdzie ma się jakąś odpowiedzialność, np. w związku z przetwarzaniem danych osobowych. Osoba, która się kształci kilka lat w zawodzie, nie chce go wykonywać za takie same pieniądze, jakie dostaje osoba bez jakichkolwiek kwalifikacji – podkreśla Patrycja, 25-latką.



Młodzi odrzucają pracę pod presją wyników i wydajności, nie chcą pracować kosztem swojego życia prywatnego i odpoczynku – podkreślają autorzy badania pokolenia Z na rynku pracy w Kujawsko-Pomorskim

Wszystkie „Zetki” wskazują, że dobre wynagrodzenie to dla nich największa motywacja do pracy. Jaka kwota miesięcznie netto jest dla nich satysfakcjonująca w Kujawsko-Pomorskiem? O to zapytano młodych w badaniu. Rozróż podawanych odpowiedzi był szeroki – od tysiąca do 10 tysięcy zł. Najwyższe wartości wskazywali już pracujący oraz uczniowie i studenci.

Absolutną „ściemą” w tej materii jest dla „Zetek” brak informacji na temat wypłaty podczas rekrutacji. Oczekują tego, że pracodawcy podawać będą przynajmniej widełki. Winni też konkretnie określać wymagania oraz zakres obowiązków poszukiwanego pracownika. I zawsze odpowiadać na aplikację! Niezależnie, czy ma to być zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną, czy odmowa.

Nadgodziny i work balance. „Zetki” nie będą harować

Młode pokolenie nie chce i nie żyje tak jak ich rodzice. Oni

w ich ocenie żyją, by pracować. „Zetki” odwracają trend. „Pracuję po to, by żyć, a nie odwrotnie” – podkreślają.

Równowaga między pracą a sferą prywatną to dla „Zetek” rzecz niesamowicie ważna. Oczekują, że pracodawca to nie tylko uszanuje, ale i zrozumie.

– Znalezienie złotego środka jest kluczowe. I postawienie granic – podkreśla Julia, 25-latką. – Czyli np. gdy wszyscy inni pracownicy zostają w pracy w nadgodzinach, to jednak trzeba powiedzieć wprost: „Mój czas się skończył, dokończ jutro, świat się nie zawali”. Pracując po 10-12 godzin, jak niektórzy w firmie, można się szybko wypalić zawodowo.

Przywitanie na świecie pierwszego dziecka skłania „Zetki” do jeszcze bardziej rygorystycznego dbania o takie stawianie granic. To nie jest pokolenie rodziców, którzy godzą się na bycie „nieobecny” w domu kosztem pracy.

– Urodziło mi się dziecko i wtedy bardziej przejrzałem na oczy. Pracuję w godzinach od 6.00 do 14.00. Pod telefonem jestem od 5.00 rano. Po godzinie 14.00 telefonów służbowych już nie odbieram. O 14.00 się „wyłączam” – wylgowuję się z programu, wyłączam e-maila – opisuje Adam, 28-latek na kierowniczym stanowisku.

Tu dla jasności materii warto podkreślić, że „Zetki” nie mówią w ogóle „nie” nadgodzinom. Są w stanie w określonych warunkach tak pracować. Zdecydowane veto stawiają jednak „presji ze strony pracodawcy na pracę w nadgodzinach”. Czyli – popracują więcej, jeśli same tak zdecydują, a nie wtedy, gdy zostaną zmuszone.

Młodzi odrzucają pracę pod presją wyników i wydajności, nie chcą pracować kosztem swojego życia prywatnego i odpoczynku. Nie akceptują tzw. kultury zapieprzania. Nie chcą też pracować kosztem swojego zdrowia, dlatego raczej nie godzą się na pracę w szkodliwych warunkach – wskazują autorzy raportu.

Szefie, uważaj na to, co i jak mówisz!

Feminatywy są ważne

Lekceważenie, dyskryminacja z uwagi na płeć, wiek czy poglądy oraz wykluczające formy komunikacji w miejscu pracy – na te kwestie młode pokolenie jest bardzo wyczulone. I jest w stanie trzasnąć drzwiami, gdy w jego ocenie granice zostaną przekroczone. Ich rodzice natomiast przywykli do skłonienia głowy i tzw. przetrwania.

Swojego dobra szczególnie pilnują „Zetki” kobiety. „Kobiety z generacji X i Y czuły przymus tłumaczenia się z tego,

jak godzą rolę matki z rolą pracowniczką. Kobiety z generacji Z buntują się przeciwko temu, że nikt takich tłumaczeń nie oczekuje od mężczyzn będących ojcami” – podkreślono w raporcie.

– Nadal w wielu miejscach pracy kobiety postrzegane są jako te, które będą brać zwolnienia lekarskie, bo mają dzieci. Albo zaraz zajądą w ciążę, bo jeszcze dzieci nie mają – nie kryje goryczy Sylwia, 29-latką.

Rodzaj pytań, sposób rozmowy, a także sam język, którego się używa – to dla „Zetek” rzeczy bardzo ważne. I chodzi nie tylko o relacje szef-pracownik, ale także te między współpracownikami.

– Inkulzywność jest dla młodych jedną z podstawowych wartości. Są wrażliwi na punkcie tego, by nikogo nie wykluczać oraz samemu nie być wykluczonym. W publicznym dyskursie bywa to wyśmiewane przez reprezentantów generacji X i Baby Boomers. Kwestie używania feminatyw lub zaimków niebinarnych są traktowane przez przedstawicieli starszych generacji jako niepotrzebna „poprawność polityczna”. Jednak dla młodych inkulzywny język jest wyrazem akceptacji i chęci budowania relacji opartych na szacunku – podsumowują autorzy badania.

Jeśli „Zetce” będzie źle, to odejdzie

Źle traktowane lub po prostu źle czujące się w pracy „Zetki” nie mają specjalnych dylematów. Po prostu zaczynają szukać czegoś innego. Oczywiście, nie dotyczy to każdego młodego pracownika, bo okoliczności bywają różne. Trend jednak jest bardzo wyraźny: generacja Z nie jest przyspawana do raz zajętego stołka.

– Jak się kiedyś widziało w CV, że ktoś skacze z miejsca pracy do miejsca pracy, to była reakcja typu „Coś jest nie tak. Czego on szuka?”. A „Zetki” właśnie w ten sposób szukają. No i mają do tego prawo – uważa Sylwia, cytowana już 29-letnia respondentka. – Myślę, że jest w nich taka duża samoświadomość i potrzeba niezależności. Potrzeba dbania o siebie i szukania miejsca, które będzie dla nich dobre i zgodne z nimi. To będzie powodowało częste zmiany pracy.

Na zmiany „Zetki” są gotowe, choć w Kujawsko-Pomorskiem narzekają na brak miejsc pracy dla młodych. A przynajmniej – brak odpowiednich dla nich miejsc. W badaniu skarżą się m.in. na to, że pracodawcy najczęściej chcą mieć już „gotowego pracownika”. Nie bacząc na to, że nawet ktoś wykształcony na starcie potrzebuje wprowadzenia, przeszkolenia, czasu na adaptację. „Brakuje przycięcia, nie ma szkoleń, nie ma płatnych okresów próbnych, które pozwolą się wykazać” – takie słowa z ust młodych badanych padają.

Skoro zmiany „Zetka” chce zmienić pracę, ale nie znajduje odpowiedniej w Kujawsko-Pomorskiem, to... Niestety, często kolejnym ruchem młodego człowieka może być po prostu wyjazd do innego regionu, do większego miasta. „Niestety” dla regionalnego rynku pracy, bo dla samej „Zetki” taka decyzja bywa szansą na rozwój. ©©

PS Wszystkie cytaty pochodzą z raportu badania „Ocena i analiza sytuacji osób młodych na kujawsko-pomorskim rynku pracy”. W całości jest on dostępny na stronie: wupto-run.praca.gov.pl



FOT. DOMENA PUBLICZNA/BIBLIOTEKA NARODOWA

Apogeu nastąpiło 1 maja 1905 roku, gdy w Warszawie wojsko rosyjskie otworzyło ogień do demonstrantów. Na zdjęciu strajk roznosiciele „Kurjera Warszawskiego” w listopadzie 1905 r.

„ŚMIAŁO PODNIEŚMY SZTANDAR NASZ W GÓRĘ!”. O REWOLUCJI 1905 R.

Rocznicy rewolucji 1905 roku dziś raczej nikt w Polsce nie obchodzi. Wydarzenia w Królestwie Polskim były bezpośrednim echem tego, co działo się w Rosji

Mariusz Grabowski

Napięta sytuacja w wielu miastach Królestwa Polskiego utrzymywała się od 1904 roku. Warszawa, Łódź, Sosnowiec, Radom, Kielce, Częstochowa to były miasta, w których niezadowolenie wybuchło. 20 lutego w Muzeum Woli ruszy wystawa „1905. Nowy początek. Rewolucja na Woli i w Warszawie”. Przez pryzmat wydarzeń w tej robotniczej części stolicy możemy spojrzeć na zapomniane dziś wydarzenia z początków XX w.

„Niech żyje rewolucja”

Historię rewolucji poznajemy przez bogaty wybór obiektów ze zbiorów Muzeum Warszawy, m.in. sztandary z pochodów i strajków z hasłami: „Niech żyje Rewolucja”, „Niech żyje 8-godzinny dzień roboczy”, pocztówki i grafiki ukazujące zdarzenia

z manifestacji i walk ulicznych, fotografie przedstawiające 250-tysięczny pochód patriotyczny na ulicach Warszawy. Wydarzenia te miały dość dramatyczny i gwałtowny przebieg. Hasła rewolucji były na wskroś lewicowe: skrócony dzień pracy, upowszechnianie niezależności edukacji (w tym nauczania w języku polskim), udzielenie praw powszechnych wyborczych (w tym kobietom), możliwość zrzeszania się i zakładania związków zawodowych czy wprowadzenie podstawowych praw pracowniczych.

Apogeu nastąpiło 1 maja 1905 r., gdy w Warszawie wojsko rosyjskie otworzyło ogień do demonstrantów. Zginęło 37 osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Strzelano również do manifestantów w Lublinie i Łodzi. W lipcu został skazany na śmierć tow. Stefan Okrzeja, członek Organizacji Bojowej PPS. 10 listopada w Królestwie

Polskim wprowadzono stan wojenny.

Pacyfikacje i zamieszki

Podczas rewolucji dochodziło do masowych strajków i okupacji zakładów pracy. Liczne manifestacje polityczne i robotnicze przerażały się w walki uliczne ze stawianiem barykad oraz policyjnymi i wojskowymi pacyfikacjami. Na wystawie zobaczymy wyjątkowe fotografie ukazujące nie tylko Warszawę na początku XX wieku, ale przede wszystkim skalę pochodów przechodzących Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem czy placem Trzech Krzyży. Mimo gwałtowności wydarzeń, nie można tracić z pola widzenia istoty rewolucji 1905 r., czyli żądań strajkujących robotników. Dwa wydarzenia z czasu rewolucji 1905 r. warto wyróżnić szczególnie: strajk mło-

dzieży i studentów oraz tzw. pogrom alfonsov. Ten ostatni epizod jest prawie zupełnie zapomniany: były to trzydniowe majowe zamieszki wywołane przez warszawskich robotników przeciwko środowisku żydowskich sute-nerów na Starym Mieście.

„Strajk, towarzysze!”

Wydarzenia w Królestwie Polskim były bezpośrednim echem wydarzeń w Rosji: rozpoczętej wojny z Japonią i „Krwawej niedzieli” 22 stycznia 1905 r. To wtedy pokojowa manifestacja została rozbита przez siły carskie. W demonstracji udział wzięło ponad 100 tysięcy ludzi, robotnicy nieśli portrety cara i śpiewali pieśni. Nagle zostali w kilku punktach miasta zaatakowani przez uzbrojoną kawalerię. Zabitych i rannych było ponad tysiąc osób, w tym kobiety i dzieci.

Już 28 stycznia PPS i SD-KPiL wezwały do strajku, który objął ponad 400 tys. pracowników. Ruch rewolucyjny polskiego proletariatu w styczniu i lutym 1905 r. wywarł wpływ również na część inteligencji. W Warszawie, Łodzi i innych miastach Królestwa urzędnicy wielu biur i instytucji prywatnych porzucili pracę.

Bezpośrednią reakcją na wydarzenia „Krwawej niedzieli” był trwający ponad trzy lata strajk szkolny. Od 1905 do 1906 r. w Kongresówce wybuchło ponadto ponad 6991 strajków, w których uczestniczyło 1,3 miliona pracowników.

Socjalistyczne hasła i towarzysząca im przemoc szybko spolarizowały politykę w Królestwie. Wystąpienia robotników potępiła zdecydowana większość społeczeństwa. Endecka „Gazeta Polska” nawoływała wręcz do zdławienia „socjalistycznej anarchii”, w której liczba morderstw i zabójstw politycznych, dokonanych przez bojówki socjalistyczne i protokomunistyczne, sięgnęła 40-50 tygodniowo.

Przeciwnicy lidera endecji Romana Dmowskiego uważali nawet, że zawarł on tajne porozumienie z carem w celu zwalczania PPS. Działalność Narodowej Demokracji w okresie rewolucji doprowadziła do wzmożonej niechęci między Polakami i Żydami; apele PPS o wspólną walkę z carem, niezależnie od wyznania i narodowości, stopniowo pozostawały bezskuteczne.

W odpowiedzi na represje nasiliły się starcia między Organizacją Bojową PPS a siłami carskimi. Bojownicy planowali zamachy na oberpolicmajstra Nolkę i gen. Nowosiłcową. Rewolucjonści prowadzili podziemną wojnę skierowaną w sieć agentów carskich infiltrujących polskie organizacje polityczne.

Rewolucja, choć z czasem coraz bardziej niepopularna,

przyniosła szereg pozytywnych zmian na ziemiach polskich pod rosyjskim zaborem. Pojawiła się możliwość tworzenia polskich instytucji, w tym m.in. ruchu spółdzielczego, Polskiej Macierzy Szkolnej itp., dopuszczono ponadto używanie języka polskiego w urzędach gminnych.

Efektom rewolucji 1905 roku był też rozłam w polskim ruchu socjalistycznym związany z różnicami w priorytetach poszczególnych działaczy. Dla starszych priorytetem była niepodległość Polski, dla młodszych prawa robotnicze. W efekcie PPS podzieliła się na PPS Frakcja Rewolucyjna (Józef Piłsudski), której celem była przede wszystkim walka o niepodległość, oraz PPS Lewica (Feliks Kon), której celem była przede wszystkim walka o prawa robotników.

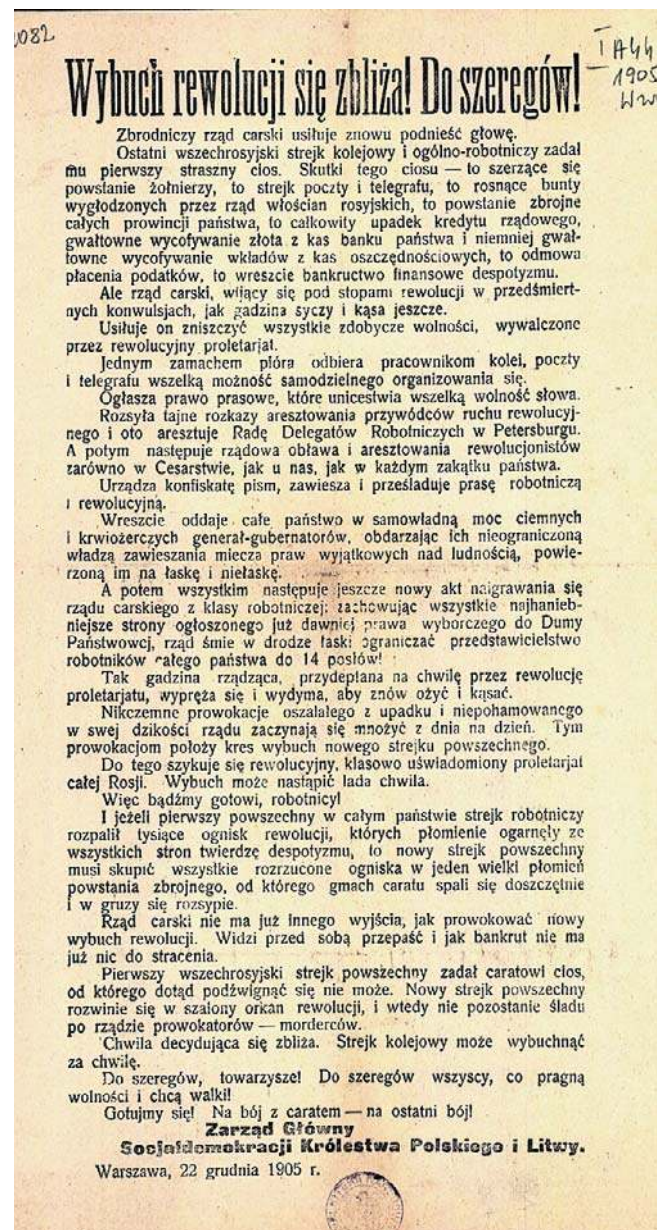
Reformy Mikołaja II

Zmiany następowały nad Wisłą, ale także w Imperium. 30 października 1905 r. car Mikołaj II wydał Manifest konstytucyjny (tzw. „manifest październikowy”), w którym obiecał poszanowanie podstawowych wolności obywateli, powołanie pierwszego w dziejach Rosji parlamentu oraz rządu z premie-

rem Sergiejem Wittem. Parlament składał się z dwóch izb. Izbę wyższą tworzyła powołana przez cara Rada Państwa, izbę niższą natomiast stanowiła Duma Państwowa pochodząca z wyborów.

Pierwsza Duma przetrwała zaledwie kilka miesięcy, gdyż już w lipcu 1906 r. car, niezadowolony z jej składu, przedterminowo ją rozwiązał. Druga Duma została wybrana w 1907 roku, lecz większość mieli radykałowie, więc też została rozwiązana przez Mikołaja II. Dopiero trzecia Duma została wybrana na podstawie zmiennej ordynacji w tym samym roku, w niej większość tworzyli zwolennicy cara. W efekcie przetrwała pięć lat.

W 1906 r. Mikołaj II odwołał Sergieja Wittego z urzędu premiera, a na jego miejsce został powołany Piotr Stołypin, który skutecznie tłumiał rewolucję, wprowadzając surowe represje wobec opozycji. Z drugiej strony dokonał ważnych reform: agrarną, znoszącą wspólnoty gminne, w wyniku której wytworzyła się warstwa zamożnego chłopstwa, tzw. kulaków. Uznał wolność do zrzeszeń i przeprowadził reformy w szkolnictwie i w wojsku.



FOT. DOMENA PUBLICZNA/BIBLIOTEKA NARODOWA

Wydarzenia miały raczej charakter socjalny, a nie niepodległościowy

Z POZNAŃSKIEJ WILDY W KOSMOS. STUDENCI POLITECHNIKI SIĘGAJĄ GWIAZD

Zacząło się w piwnicznych warunkach na poznańskiej Wildzie, dziś studenci z Politechniki Poznańskiej konstruują turbopompę, wykorzystywaną do zasilania silników raketowych. A ich rakiety wygrywają w konkursach za oceanem

Emilia Ratajczak



Ekipa PUT Rocketlab z Politechniki Poznańskiej na konkursie Spaceport America Cup w Nowym Meksyku (Stany Zjednoczone) w 2023 roku

Wszystko zaczęło się na przełomie 2017 i 2018 roku. - Wtedy otwierany był nowy kierunek Lotnictwo i Kosmonautyka i studenci z pierwszego rocznika wyszli z taką propozycją. Pierwotnie chcieliśmy budować tylko rakiety na paliwo stałe, by brać udział w konkursach takich rakiet - mówi dr inż. Bartosz Ziegler, opiekun koła naukowego PUT Rocketlab, działającego przy Politechnice Poznańskiej. Zrzesza blisko 100 osób - studentów z prawie wszystkich wydziałów. Zajmują się budową rakiet ba-

dawczych i rozwijaniem technologii raketowych.

Ale typ rakiet, które budują, trzeba było zmienić na hybrydowe. Według polskiego prawa silniki rakiet z napędem na paliwo stałe mogą produkować jedynie producenci... materiałów wybuchowych.

Rakiety hybrydowe, które nie podlegają takim ograniczeniom, mają natomiast o wiele bardziej złożony układ napędowy czy peryferia, więc projekt musiał się rozwinąć.

Samo założenie koła naukowego nie było niczym trudnym, wystarczyło złożyć wniosek i koło formalnie zaczęło istnieć na papierze.

Trudne jednak było to, żeby był formalny przekuć w realną działalność.

Przez pierwszy rok koło nie miało swojej siedziby, ani warsztatu.

Dopiero po tym czasie uczelnia przydzieliła naukowcom pomieszczenia znajdujące się na starym kampusie na Wildzie.

- Były tam laboratoria od wytrzymałości materiałów, spawalnictwa i innych - ciężkomaszynowych rzeczy. Zostały przeniesione na kampus na Piotrowo jako ostatnie. Budynki, które zostały po tych wszystkich instytucjach, teraz są miejscami działania cze-

rech kół naukowych - dodaje Ziegler.

Budynek, który otrzymali od uniwersytetu, to stara spalnia, która, jak określają, jest „niefotogeniczna”, ale ze względu na swój charakter, świetnie nadaje się do prac warsztatowych.

Wiecej niż koło naukowe. To prawie „mała” firma

Dziś w zespole oprócz informatyków, którzy programują między innymi systemy pokładowe, są również elektronicy, mechanicy, i tacy, którzy zajmują się sferą technologiczną zamieniając wałek z alumi-

nium w część silnika. Do tego wszystkiego jest również sekcja promocji zajmująca się finansami i sponsoringiem, która utrzymuje relacje biznesowe ze sponsorami.

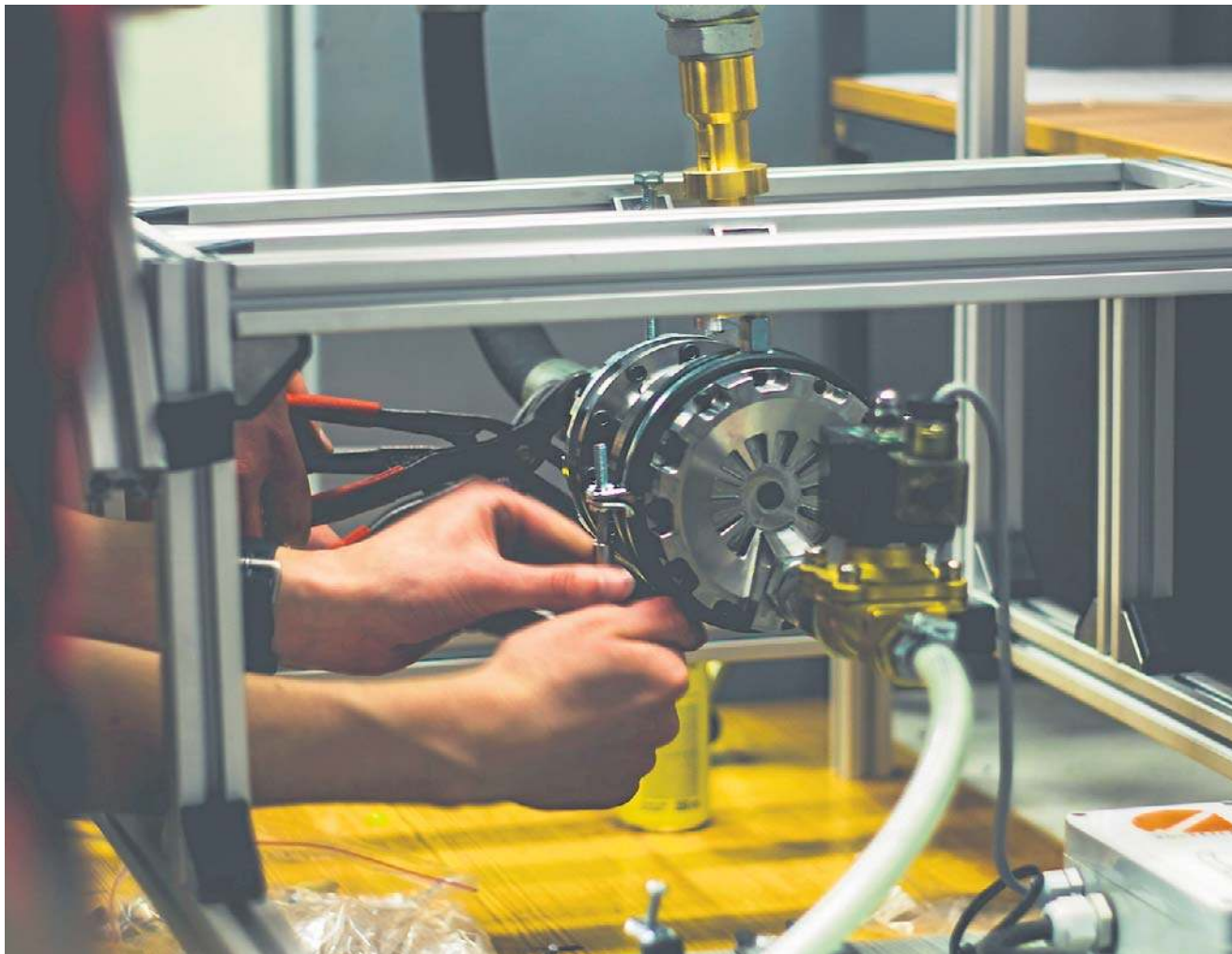
W zespole są jeszcze freelancerzy - osoby, które dostają „zlecenie” na konkretne działania, kiedy jest taka potrzeba.

- Jeden kolega opracował cały system w ciągu nocy na zawodach, żeby podłączyć mapy do tabletu i wyszukiwać, dzięki sygnałowi GPS, gdzie znajduje się rakietka po wylądowaniu. A co robi na co dzień? Nawet nie wiem - śmieje się Konrad Ludwiczak, członek koła.

Budowanie rakiet do najtańszych nie należy.

Finansowanie koła opiera się na kilku filarach. Uczelnia zapewnia kołu naukowemu zaplecze (budynki i miejsce do pracy), obsługę administracyjną i pokrywa koszty bieżące. Są także granty z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a koszty techniczne koło udaje się pokryć głównie dzięki sponsorom.

- Większość to było finansowanie zewnętrzne, czyli umowy podpisywane z firmami, które wspierają nas albo sprzętowo albo finansowo w zamian za pokazanie ich logotypu na rakiecie czy w me-



FOT. PUT ROCKETLAB

Projekt turbopompy to najnowszy projekt koła naukowego. Studenci są pierwsi na świecie, którym udało się stworzyć i uruchomić takie urządzenie

diach społecznościowych. Dopóki się jednak nie ma wykutej marki, to nie ma się wartości marketingowej. Na początku to było bardzo trudne - mówi opiekun koła.

Łatwiej o finansowanie było dopiero, gdy studenci z koła zaczęli pojawiać się wydarzeniach, targach branżowych czy konkursach. Wtedy pojawili się sponsorzy i nowe możliwości.

- Pierwszy tysiąc złotych był od uczelni. Kupiliśmy za to kilka rzeczy. Ale na przykład mechanizm otwierający zawór pierwszego silnika rakietowego, który odpaliliśmy, był napędzany silniczkiem od wycieraczek z Nissana Primery, wyciągniętym z jakiegoś złomu - śmieje się Ziegler.

Lot poznańskiej rakiety do Ameryki

Trzy pierwsze lata działalności to było budowanie podstaw, modeli tego jak liczyć, jak projektować kapsy rakiet, zbiorniki, systemy tankowania. Długie godziny siedzenia w laboratorium i robienia testów, zanim w ogóle pierwsza rakietka została odpalona. A później powstała Hexa.

- W roku 2020 w końcu mieliśmy projekt - działający silnik po testach. Mimo że projekt nie był dopracowany, zgłosiliśmy się do amerykańskiego konkursu Spaceport America Cup. A później wybuchła pandemia. W 2021 roku mieliśmy już rakieta - Hexa 2, silnik był po testach i wtedy zrobiono konkurs w formie zdalnej - wysyłało się

dokumentację techniczną i raporty z testów. To był nasz pierwszy udział, dopiero w 2022 roku byliśmy z rakieta w Stanach Zjednoczonych - mówi Bartosz Ziegler.

Spaceport America Cup odbywa się corocznie na największym prywatnym kosmodromie na świecie w Nowym Meksyku, we współpracy z innymi Blue Origin, Virgin Galactic i Aerojet Rocketdyne.

Już w 2021 roku studenci z Poznania pokazali się światu jako ambitni konstruktorzy. Zwyciężyli w kategorii 30K Hybrid/Liquid Student Research and Developed Components. Ich zdaniem - najtrudniejszej, najbardziej zaawansowanej. W tym samym zawodach otrzymali również wyróżnienie - Jim Furfaro Award For Technical Excellence.

2023 rok ponownie należał do nich. Pojechali na amerykańskie zawody z konstrukcją, po to, by wygrać w tej samej kategorii.

W 2023 roku także w zawodach European Rocketry Challenge ich rakietka poleciała najwyższą spośród rakiet z układem napędowym zaprojektowanym przez studentów.

Warunki amerykańskie stanowiły dla rakiet poznańskich studentów kolejne wyzwania.

- Do skutecznego odpalenia rakiety z napędem hybrydowym w warunkach amerykańskich pustyń, trzeba mieć dużo zaplecza obok tej rakiety - między innymi system tankowania, który kontroluje tempera-

turę - mówi opiekun koła. Aby wziąć udział w konkursie, „wystarczy” spełnić określone wymagania. To nie jest problem. Zgłoszenia zwykle odbywają się pod koniec roku - w listopadzie i grudniu. Najtrudniejszy jest proces ewaluacji, który przeprowadzany jest w maju i czerwcu, kiedy rozpoczynają się konkursy. W trakcie procesu trzeba raportować postępy prac nad konstrukcją, wykonywać obowiązkowe testy. A nawet jeśli to się uda - jury konkursu już w Stanach, na miejscu, może stwierdzić, że „wasza rakietka nie leci”.

- Sama ewaluacja odbywa się na zasadzie wysyłania raportów, sędziowie mogą wtedy poprosić o wykonanie dodatkowych analiz testów. Po przybyciu na miejsce odbywa się jeszcze rozmowa z sędziami, a my musimy obronić cały projekt, pokazując dokładnie jak jest wykonany - mówi Konrad Ludwiczak.

Najtrudniejsza wydaje się jednak logistyka samego wyjazdu. Oprócz biletów i noclegów na około 20 osób, trzeba przetransportować jeszcze tonę sprzętu, który obwarowany jest

specjalną procedurą celną. - Urzędnicy celni zaczynają skupiać się bardziej, kiedy widzą, że w skrzyni jest rakietka - śmieje się pan Bartosz.

Ile kosztuje rakietka?

- To jest pytanie, które regularnie dostajemy i nikt nie potrafi na nie odpowiedzieć. Gdybyśmy dzisiaj mieli zbudować rakieta, ale już mając wszystko, co trzeba byłoby do niej zrobić - to jest to koszt około 40 tysięcy złotych - mówi Ziegler.

W rakiecie poza śrubami, nie ma komponentów gotowych.

- To nas wyróżnia, bo większość rzeczy robimy sami. Wszystko, co trzeba wsadzić do rakiety, a jest gdzieś w przemyśle - ma za wąski zakres parametrów użytkowych - dodaje opiekun koła.

Największym kosztem jest cały proces badawczo-rozwojowy.

Dokładne wymiary i wielkości opracowuje się za pomocą eksperymentów, które nie są najtańsze. Drogie są również systemy pomiarowe, które czasami niszczą się w trakcie testów. Te najpierw odbywały się

na Wildzie - w warsztacie, kiedy jednak rakiety stały się za duże do testowania pod dachem, studenci zaczęli testy na lotnisku w Kąkolewie.

- Trzeba kupić kamerę, a potem wsadzić do rakiety. Kamera formalnie jest uznawana za „środek trwały”, wykorzystywane wielokrotnie, a nagle wbija się w poligon z prędkością dźwięku i niszczy się, jeżeli spadochrony nie zadziałają prawidłowo - mówi Ziegler.

W trakcie testów zdarzyło się również, że dwie duże rakiety zostały zniszczone.

Elementem, którego nie da się wycenić, są roboczegodziny studentów, którzy działają w kole nieodpłatnie.

Prawdopodobnie są to dziesiątki tysięcy godzin, jeśli pracownikom w takim zespole trzeba byłoby zapłacić - byłyby to miliony złotych.

- Dla odpalenia samego silnika, kiedy wszystko jest już gotowe, zrobienie osłony termicznej dla paliwa wewnątrz komory, to jest około 48 godzin pracy, jeśli nie będzie żadnych błędów po drodze - mówi Konrad. - Żeby pojechać i strzelić samym silnikiem, to jest co najmniej dwa dni roboty, z czego pół dnia na poligonie.

Rakieta, kiedy stoi na platformie startowej i jest zatankowana, waży 56 kilogramów - niezatankowana 34. Sam zespół napędowy to około 15 kilogramów. Mierzy ponad 4 metry.

Rakiety hybrydowe tworzone przez studentów i naukowców z Politechniki Poznańskiej wymagają o wiele więcej pracy niż te działające na paliwo stałe. Potrzebują również więcej sprzętu wokół.

- Pracujemy na utleniaczu, którym jest podtlenek azotu, jak większość zespołów studentckich. Jest on bardzo wrażliwy na czynniki środowiskowe, głównie na temperaturę. Trzeba w sposób bardzo kontrolowany rakieta zatankować, precyzyjnie wiedzieć, ile się nalało. Robi się to wszystko w hermetycznych systemach pod ciśnieniem. A wszystko to zdalnie - co najmniej z 500 metrów - dodaje Ziegler.

Złożona technologia bez podręcznika

Sportowo za największy sukces studenci uważają zwycięstwo w amerykańskich zawodach w 2023 roku, technicznie - projekt turbopompy (turbina połączona z pompą w jednym urządzeniu). Jest to urządzenie niepozorne, mieści się w dłoni, ale każdy szczegół jest trudny w budowie.

- 2023 to był rok, w którym zaczęliśmy tematycznie odchodzić od samych rakiet. W tej chwili oprócz tego, że tworzymy rakiety konkursowe, staramy się także wchodzić w jak najwięcej tematów pobocznych i rozwijać technologie, które są wokół rakiet - mówi opiekun koła.

To między innymi turbopompy. Na całym świecie konstruuje je tylko kilka firm.

- Rakietowe silniki mają duże zużycie materiałów pędnych na sekundę. BS, czyli silnik naszej rakiety sondażowej zużywa nieco ponad 2 kilogramy utleniacza na sekundę. W dużych rakietach są czasami przepływy rzędu tony na sekundę. Jednocześnie, żeby silnik miał wysoką sprawność, żeby nie generować ciepła, tylko ciąg - musi być bardzo wysokie ciśnienie w komorze - tłumaczy Ziegler.

Największym technicznym problemem, jeśli chodzi o budowę silników rakietowych, jest znalezienie sposobu na wtłaczanie dużej ilości płynów do komory, w której jest wysokie ciśnienie. Odpowiedzią jest turbopompa, której projekt, jako pierwszy stworzony przez studentów, powstaje na Politechnice Poznańskiej.

Literatury jednak żadnej na ten temat nie ma, z prostego powodu - turbopompy wykorzystuje się w bardzo wąskiej dziedzinie - do silników rakietowych klasy orbitalnej albo w silnikach rakietowych międzykontynentalnych pocisków balistycznych. A każda technologia rakietowa jest uznawana za technologię o potencjalnym wykorzystaniu militarnym.

- Projekt turbopompy jest na tyle trudny i zaawansowany technicznie, że według naszej wiedzy, podjął się tego tylko jeden na świecie zespół studentcki. Udało im się go zbudować, ale nigdy go nie uruchomili. A nam się udało i zbudować i uruchomić - mówi Olaf Jagiełłowicz.

Projekty, które tworzone są na Politechnice Poznańskiej, mogą zostać wykorzystane w przemyśle rakietowym, jak i obronnym.

- Produkujemy pewnego rodzaju know-how, który później transferujemy do polskiego i zagranicznego przemysłu - mówi Olaf.

Czy Politechnika Poznańska polecie w kosmos? Umownie uznaje się, że granica między atmosferą ziemską a przestrzenią kosmiczną wyznacza Linia Kármána znajdująca się dokładnie 100 kilometrów nad poziomem morza.

- Na to, żeby w najbliższych latach zrobić rakieta sondażową, która wskoczy nad linię Kármána, ambicje mamy. Wciąż toczą się prace, które mogłyby to umożliwić. Jednak nie można tego zrobić w warunkach żadnego konkursu. To już wymaga dedykowanej pracy, problem stanowi miejsce - w Europie mamy niewiele takich przestrzeni. Teoretycznie można strzelać nad Bałtyk, ale nie chcielibyśmy, żeby coś spadło na Szwecję, albo inne kraje - śmieje się Ziegler. - Na loty orbitalne ambicji nie mamy. Na razie.

Arlena Sokalska

PO NAS
CHOĆBY POTOP

W

ielu z nas zobaczy to na własne oczy, wszak do 2060 roku zostało już tylko 35 lat, a starzejemy się coraz wolniej. Jak prognozuje GUS, właśnie

wtedy liczba Polaków spadnie do 30 milionów. W 2029, czyli już za kilka lat, do 36 milionów. Ile będzie wówczas mieszkańców naszego kraju? Nie wiadomo. GUS prognozuje jedynie liczbę osób z polskim obywatelstwem.

W Polsce - w odróżnieniu choćby od Stanów Zjednoczonych - obowiązuje „prawo krwi”, co oznacza, że urodzone w Polsce dziecko nie nabywa automatycznie polskiego obywatelstwa. Żeby tak się stało, przynajmniej jedno z rodziców musi być Polakiem. W USA wystarczy urodzić się na terytorium tego kraju, by wystąpić o przyznanie obywatelstwa. To tytułem wyjaśnienia.

Być może w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat wszystko się w Polsce zmieni, w tym zasady przyznawania obywatelstwa, ale znacznie ważniejszym problemem jest to, dlaczego Polacy nie chcą mieć dzieci. Bo do tego sprowadza się demograficzna zapaść, w jakiej pogrąża się nasz kraj. A sprawa jest dużo poważniejsza niż tylko stwierdzenie, że w dzisiejszych czasach dziecko jest „towarem luksusowym” i wielu młodych ludzi najzwyczajniej nie stać na dziecko, bo mają słabo płatną pracę, pracują na „śmieciówkach”, nie stać ich na kupno mieszkania ani nawet na długoterminowy wynajem, co daje jakąś tam gwarancję bezpieczeństwa. Bardziej istotne są postawy, a te zmieniły się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat diametralnie. Pokolenie X, czyli urodzeni w latach 1965-1979, powoli powinni przyzwyczajać się do myśli, że wkrótce zasiadą w wygodnych fotelach otoczeni wianuszkami wnuków. Ale tak się nie stanie, bo większość z nich ma tylko jedno, góra dwoje dzieci. A te niekoniecznie zbierają się do tego, by zakładać rodziny.

Przedstawiciele pokolenia Z (urodzeni w latach 1995-2012) nie przejmują się tym, co się stanie, gdy to oni będą starsi. Żyją trochę według zasady „po nas choćby potop”. Owszem, jeśli martwią się o przyszłość, to raczej w kontekście zmian klimatu. Może martwią się tym, że świat robi się coraz bardziej naelektryzowany i widmo wojny wisi zwłaszcza nad Europą. Ale nie myślą, co stanie się z ich emeryturami, kto będzie na nich pracował, gdy się zestarzeją. Chcą się rozwijać, podróżować, żyć pełnią życia. I nie chcą mieć dzieci.

Czy przekonałyby ich do zmiany zdania lepsze programy socjalne, większe wypłaty na każde dziecko, przedszkole „w każdym bloku”? Nie sądzę. Socjologowie i demografowie, pytani o recepty, bezradnie rozkładają ręce.

Nie pozostaje nic innego jak usiąść w kącie i się zamartwiać. Co z nami, Polakami, będzie? Kim będziemy w przyszłości jako naród? Czy będzie nas tak mało, że przestaniemy cokolwiek w Europie i na świecie znaczyć? Takich pytań można postawić wiele.

Ale ja nie zamierzam załamywać rąk. Nie wiadomo, jak zmieni się świat w ciągu dekady, a co dopiero trzech. Dziś zmiany nie następują, one galopują. Czy świat naszej starości będzie tym samym światem, jaki nas otacza? Nie znam nikogo, kto potrafiłby dać jakąkolwiek sensowną odpowiedź na to pytanie. Chyba lepiej żyć jak nasze dzieci.

A po nas choćby potop.

Adam Bula

MEGA MAGA: HASAJĄCY TRUMP
ROZHUŚTUJE ŚWIAT

P

odejmę się próby napisania o prezydencie USA na poważnie. Kłopot z tym jest

w tym, że akurat po dekadzie, w której liberalne elity robiły z Donalda „groźnego głupka”, Trump wrócił, robiąc głupków z tych elit i ich wyborczych kalkulacji. No więc zaczęto go traktować śmiertelnie poważnie, dokładnie wtedy, gdy przez pierwsze dwa tygodnie prezydent pokazał: nic z tego. Tak na poważnie to nigdy nie będziecie wiedzieć, co akurat jest serio grane.

O transakcyjnym podejściu do polityki prezydenta USA i jego taktyce negocjacyjnej, polegającej na startowaniu z szokująco wysokich pozycji, powinien słyszeć już każdy. Zabawa polega więc na próbie ogarnięcia, kiedy Trump blefuje i po co? Bo czekają nas 4 lata politycznego pokera. W niemal każdej rozgrywce można dość dokładnie oszacować, jakie prezydent ma karty w ręce. Tylko że to niczego niczego nie gwarantuje, bo Trump z kolei wie, kto i jak umie liczyć.

Możemy zrobić sobie takie ćwiczenie. Tylko jeszcze dwa słowa o ruchu MAGA - grupującego zwolenników trumpowskiej wizji świata pod akronimem z hasła jego kampanii: Make America Great Again. Zdecydowanie wypada się z tą wizją Ameryki i świata w wolnej chwili zaznajomić. Zwłaszcza gdy jest już jasne, że MAGA zainwestuje w jeszcze nieistniejący ale już możliwy ruch MEGA, gdzie pod „A” podkłada się nieszczęsną „E” uropę.

Dlatego bawiący się w wicebożka Elon Musk zagrzewa do boju europejskie, prawicowo-faszystujące frakcje i frakcyjki, bo im większe u nas będzie zamieszanie, tym łatwiejsze z nami będą negocjacje handlowe. O samej obronie interesów bigtechów przed regulacyjnymi zakusami Unii już nawet nie wspominając.

Na dziś wystarczy nam pamiętać, że MAGA to plan umocnienia Ameryki przez wzięcie za twarz z pozycji jej - jeszcze istniejącej - siły wszystkich innych, z sojusznikami na czele, a MEGA to amerykańska 5 kolumna w Europie. A i tak zawsze chodzi o to, że USA tracą status supermocarstwa, bo ich przewaga nad Chinami dramatycznie topnieje.

Został nam jeszcze jeden klocek do ustawienia, bo wszystko dzieje się w genialnie rozpoznanej

i wygranej przez Trumpa epoce socialmediowej postpolityczności. Brzmi groźnie, ale sprowadza się do tego, że staromodne pojęcie politycznej sprawczości, budowanej z kompromisów między sprzecznymi interesami, zostało sprowadzone do sprawnych wrzutek w Social Mediach, tak radykalnie uproszczonych, że białe (Trump) zawsze walczy/wygrywa z czarnym (wszyscy inni akurat na drodze Trumpa) za pomocą jednego zdania, które da się zapamiętać nawet z IQ grubo poniżej setki.

Prosty przykład z poranka (6.02). Czytam tytuł: „Koniec transpłciowych sportowców w kobiecych imprezach”. W rzeczywistości: prezydent Trump obciął federalne fundusze dla „amerykańskich instytucji edukacyjnych, dopuszczających udział biologicznych mężczyzn w kobiecych zawodach sportowych”. Czyli pohasał sobie akurat tyle, ile u nas minister Nitras naskoczył prezesowi PKOl Piesiewiczowi.

To nie znaczy, że zadekretowany przez MAGA powrót do rzeczywistości dwóch płci nie będzie się dokonywał. Znaczący tyle, że będzie z tym szło mniej więcej tak, jak u nas z rozliczaniem PiS. Przykład: po pierwszej kadencji Trump wie, że nie zrobi rewolucji bez rozbitcia deep state, czyli dwumilionowej armii federalnych urzędników i stojących na jej czele elit. Więc MAGA opracowała plan wymiany tych elit na nowe, które nie będą hamowały pomysłów na rządzenie krajem.

Brzmi znajomo? Różnica jest taka, że PiSowska „nowa elita” zmieniłaby kraj, ale najpierw na kraju musiała się dorobić. A Trump obiecuje sporą kasę urzędnikom, jeśli szybko zwolnią miejsce (pieniądze z góry za 8 miesięcy albo ryzyko zwolnienia bez odpraw). No i okazało się, że niewiele to ruszyło. Pojawiło się więc też drugie rozporządzenie, ułatwiające zwalnianie federalnych. Dokładnie ok. 50 tysięcy z nich. Na - przypominę - 2 mln. A i tak sprawa najpierw utknie w sądzie. Ale oczywiście tytuły już brzmią: „Trump miażdży deep state”...

W sumie to zapowiadałem ćwiczenie z rzeczywistości na twardych danych. Tylko czy ja aby was nie znudzę, dowodząc, że 25 proc. cła dla Kanady i Meksyku (decyzja Trumpa z piątku, 31.01) to negocjacyjna ściema (cła zawieszone na miesiąc już w poniedziałek) za to kluczowa rozgrywka z Chinami (10 proc. cła) nabiera rumieńców, bo Chiny się postawiły.

I to dlatego newsem tygodnia jest, że Trump jeszcze nie przełknął Grenlandii, a już chce połknąć Strefę Gazy.

Słownik: Idi, Kama, Nisz, skit.

ROZWIĄZANIE: ZWIERCIADŁEM CZŁOWIEKA JEGO PRACA.

0011265501

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Panu

Markowi Ostaszewskiemu

oraz

całej Rodzinie

z powodu śmierci

Ojca

składają

Rada Nadzorcza, Zarząd oraz Pracownicy
Kasy Krajowej

0011265231

Z głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

śp

**Krzysztofa
Krzemińskiego**

Wieloletniego Burmistrza Redy,
samorządowca i działacza społecznego

Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek
o wysokiej kulturze osobistej, dyplomata
oraz inicjator i realizator wielu przedsięwzięć
na rzecz mieszkańców Redy i okolic.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie, Bliskim
oraz

Współpracownikom

składają

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy
Okręgowego Przedsiębiorstwa
Energetyki Ciepłej Sp. z o.o. w Gdyni

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych
współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76**
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31**
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni**
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

Lechia postawi się liderowi?

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Przedostatni zespół w tabeli PKO Ekstraklasy kontra lider i główny faworyt do mistrzostwa Polski, czyli Lechia Gdańsk zagra z Lechem Poznań na stadionie Polsat Plus Arena.

Zdecydowanym faworytem tego spotkania jest „Kolejorz”, ale Białe-Zielone zamierzają wysoko zawiesić poprzeczkę i postarać się o niespodziankę.

Drużyna Lechii zagrała na prawdę dobre spotkanie przeciwko Motorowi w Lublinie, a to pozwoliło zdobyć punkt. W niedzielę przed Białe-Zielonymi znacznie poważniejsze wyzwanie, bo Lech to bardzo silny zespół pod względem personalnym oraz organizacji gry. Białe-Zieloni muszą zagrać jeszcze lepiej niż w Lublinie, a na pewno skuteczniej, jeśli chcą na zdobyć punktową. Być może zmieni się ustawienie zespołu, bo w spotkaniu przeciwko Lechowi drużyna z Gdańska może już nie zagrać na dwóch napastników.

- To jest dla nas bardzo ekscytujące, że zagramy z liderem tabeli, drużyną z wielką repu-



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Rifet Kapić wróci już do gry po pauzie za kartki. Jesienią Lechia przegrała w Poznaniu z Lechem 1:3

tacją i bardzo dobrą. Czekamy na to wyzwanie i aby mu sprostać musimy być odważni, a jednocześnie zachowując nasz plan i strukturę. Lech opiera swoją grę głównie na posiadaniu piłki i w każdym meczu ma je na poziomie około 60 procent. To oznacza, że będziemy musieli być cierpliwi. Zazwyczaj opieram taktykę na naszych silnych stronach, ale teraz musimy wziąć również to pod uwagę, jak ambitnym i odważnym zespołem jest Lech. Nasze przygotowanie do meczu będzie oparte na róż-

nych opcjach, zarówno kiedy my jesteśmy w posiadaniu piłki i kiedy będą ją mieć zawodnicy Lecha. Nie zdradzę oczywiście, czy zagramy jednym czy dwoma napastnikami - powiedział John Carver, trener Lechii.

W niedzielę zapowiada się na prawdziwe piłkarskie święto na stadionie w Gdańsku. W piątek o godz. 16 frekwencja wynosiła nieco ponad 7,5 tysiąca. To oznacza, że mecz obejrzy najprawdopodobniej nieco ponad 13 tysięcy widzów. W tym niespełna dwa tysiące sympatyków Lecha. Młodzi zawod-

nicy z gdańskiego zespołu będą musieli udźwignąć ciężar gry w tym spotkaniu, ale to powinno być dla nich także duże przeżycie. Zespołowi może pomóc doświadczenie kapitana Rifeta Kapića, który zakończył pauzę za cztery żółte kartki i będzie już do dyspozycji sztabu szkoleniowego. Zapewne mecz z Lechem rozpocznie w podstawowym składzie.

Lechia musi szukać punktów, bowiem traci ich cztery do bezpiecznego miejsca w tabeli PKO Ekstraklasy.

- Przede wszystkim zawsze skupiamy się na sobie. Oczywiście przy tym wszystkim patrzę na rezultaty innych drużyn i mamy w związku z tym nasze plany z tyłu głowy. Wydaje mi się, że siedem drużyn do końca sezonu będzie walczyło o utrzymanie. Musimy pilnować tego, aby cały czas być w stałym kontakcie z tymi zespołami. Dla nas teraz najważniejsze będzie pięć, sześć najbliższych meczów i one pokażą nasze położenie - podsumował trener Carver.

Mecz Lechii z Lechem rozegrany zostanie w niedzielę o godz. 17.30. Transmisja w Canal+ Premium, Canal+ Sport 3 oraz w TVP Sport. ©

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłacić kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAŻ

CHOJNICE, dom; 2 garaże, ogrzewanie gazowe, sprzedam tel. 887-591-854

DOMY - KUPIĘ

SKUP części nieruchomości, cała Polska 518-878-010

Handlowe

MATERIAŁY OPAŁOWE

DREWNO opałowe suche iglaste-190zł, osika-230zł, klon-260zł, dąb 310zł, buk-340zł - metr nasypowy połupany z transportem, woj. pomorskie, sprzedam tel. 723-894-857

Motoryzacja

SAMOCHOBY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Praca

ZATRUDNIĘ

FUB Poreba zatrudni pracowników do ociepleń i elewacji. Mile widziane Brygady 608-319-402.

Zdrowie

INNE

BMOIST - fantastyczny produkt na rynku. Lekarz powiedział, że masz suche oczy. Zakraplasz krople i niezbyt Ci pomagają! **Jestrozwiązanie**, wejdź na stronę **THE-MOISTEYE.COM** i zapoznaj się z najnowszą sprawdzoną technologią terapii suchego oka. **Wpisz kod GZTRG dla otrzymania rabatu 2 eu. To jest wyrób medyczny. Używaj go zgodnie z instrukcją używania lub etykietą**

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie, 517-744-487

ODNAWIANIE wanien, 600-979-826

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

INNE

PRAWNIK 784 633 042

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 517-958-006.

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KOKOSZKI odchowane Rosa 1: 5-tyg. odbiór 10 lutego, 8-tyg. odbiór 26 lutego, 12-tyg. odbiór 26 marca. Możliwość dowozu, S.F. Hajduk Rudno, 668-806-394

SPRZEDAŻ kurki kokoszki (brojlery) odchowane, 10-20 tyg, kaczki i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram zapisy. Tel. 728-104-188.

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zleć przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

STARE książki- skup 881-934-948

strefa
AGRO
strefaagro.pl
czytaj

SKOKI NARCIARSKIE W LAKE PLACID I SAPPORO POLACY BĘDĄ WALCZYĆ O MIEJSCE W KADRZE NA MŚ

Sen o podium może spełnić się w Ameryce

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

Puchar Świata przenosi się za ocean. W najbliższy weekend elita rywalizować będzie w Lake Placid, łącznie w USA odbędą się pięć konkursów. Czy będzie pierwsze podium dla Biało-Czerwonych?

Rozgrywanie zawodów za Atlantykiem wpływa na godziny transmisji w Polsce. Uspokajamy – nie trzeba będzie wstawać w środku nocy, aby oglądać na żywo skoki narciarskie, organizatorzy dostosowali terminy do potrzeb fanów w Europie. Konkursy mężczyzn odbędą się w sobotę i niedzielę o godz. 16 naszego czasu. Nietypowej porze będą pierwsze kwalifikacje panów i konkurs drużyn mieszanych (o godz. 23) czy drugi konkurs indywidualny pań (20.30).

Dla największych fanów zabawa zacznie się już w czwartek naszego czasu, wówczas będą kwalifikacje kobiet (23.30). A do USA wysłane zostały aż cztery nasze zawodniczki: Anna Twardosz, Nicole Konderla, Pola Bełtowska i Nata-

lia Słowik (dwie ostatnie zostaną w Lake Placid na juniorskie MŚ).

Większą popularnością w Polsce cieszą się oczywiście męskie skoki. Skład tej kadry od poprzedniego startu się nie zmienił, wystąpią: Paweł Wąsek, Dawid Kubacki, Aleksander Zniszczoł, Jakub Wolny i Piotr Żyła.

Lake Placid będzie przedostatnim przystankiem (później jeszcze Sapporo) przed przerwą w PŚ i mistrzostwami świata, które na przełomie lutego i marca odbędą się w Trondheim. Po minionym weekendzie w Willingen nastroje nie są zbyt dobre. Zadowolony może być chyba tylko Dawid Kubacki, który po treningach w kraju wrócił do kadry na PŚ i sumarycznie zanotował najlepszy weekend w sezonie, choć 22. i 14. miejsce to nie jest szczyt jego marzeń. Niemniej wykonał kolejny „mały krok” do przodu.

Punkty w obu konkursach zdobył jeszcze tylko Paweł Wąsek (19. i 17. lokata), ale w porównaniu z wcześniejszymi startami uzyskał gorszy wynik. Lider naszej kadry w tym sezonie często plasował się w „10”, zbliżał się



Dawid Kubacki już zna smak wielkiego sukcesu w amerykańskim Lake Placid. Dwa lata temu w konkursie deuetów wraz z Piotrem Żyłą wywalczyli pierwsze miejsce

do podium (4. lokata na lotach w Oberstdorfie), lecz ostatnie starty nie wyszły mu tak dobrze.

Przypomnijmy, że w USA nie wystąpi Kamil Stoch, dla którego będzie to kolejny weekend poza PŚ. Trener reprezentacji Polski Thomas Thumbichler zapowiedział, że ten zawodnik dostanie

szansę tydzień później w Sapporo. To może być dla naszego skoczka kluczowy moment, aby wywalczyć miejsce w kadrze na MŚ. Na razie pewniakami do składu wydają się być Wąsek oraz Kubacki. Wolny i Zniszczoł ostatnio nie skaczą na miarę oczekiwań, ale generalnie i tak

robią lepsze wrażenie niż Żyła. Może się zdarzyć tak, że o jedną z przepustek walka rozegra się między nim i Stochem. Jeszcze niedawno taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia...

Lake Placid światową elitę gościć będzie po raz trzeci z rzędu. Na kompleks olimpij-

skich skoczni Puchar Świata wrócił w lutym 2023 roku po ponad 20 latach. Polska ekipa miała wtedy powody do radości, bo konkurs duetów (super team) wygrali Żyła i Kubacki. Ten pierwszy rok temu był blisko podium w drugim konkursie indywidualnym – 4. lokata; w pierwszym 6. miejsce zajął Zniszczoł. Teraz takie wyniki są raczej poza ich zasięgiem...

Kto faworytem? Obstawiać chyba trzeba kolejne zwycięstwo Daniela Tschofeniga. Austriak jest w życiowej formie. W 10 ostatnich startach odniósł 6 zwycięstw (nie wyszły mu tylko loty w Oberstdorfie), łącznie ma 7 triumfów. Potrafi wygrać zawody, nawet jeśli nie jest liderem po pierwszej serii.

Kto może mu zagrozić? Jeśli nie któryś z rodaków (ostatnio w Willingen było ich jeszcze trzech w czołowej piątce), to Anze Lanisek albo Johann Andre Forfang. Obaj wyraźnie się rozpędzają, lecz w kluczowych momentach jeszcze czegoś brakuje. Znamienne jest też, że w Lake Placid nie wystąpi Pius Paschke, który dominował na początku sezonu. ©P

FOT. WOJCIECH MATYSIK

Olimpijskie odliczanie czas zacząć!

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Już tylko 12 miesięcy pozostało do XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich, które zorganizują dwa miasta oddalone od siebie około 400 km, a ich areny rozsiane są po całym regionie północnych Włoch.

Mediolan to jedna ze światowych stolic mody, słynąca z luksusowych marek, butików projektantów i pokazów mody. Z kolei Cortina d'Ampezzo jest nazywana „królową włoskich Dolomitów” i usytuowana jest w samym sercu tych gór. XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie odbędą się w dniach 6-22 lutego 2026 roku.

Gronostaje będą maskotkami

Ceremonia otwarcia jest zaplanowana na słynnym „Stadio Giuseppe Meazza” (bardziej znanym jako San Siro) w Mediolanie, na którym mecze rozgrywa AC Milan i od niedawna „polski” Inter. W 2026 roku, stadion będzie obchodził 100-lecie powstania. Z kolei zegnac zawody będziemy w starożytnym rzymskim amfiteatrze w Weronie, trzecim co do wielkości po Koloseum i obiekcie w Kapui.

W trakcie drugiego wieczoru ubiegłorocznego Festiwalu Piosenki Włoskiej w San Remo, zaprezentowano oficjalne maskotki igrzysk – gronostaje Tina i Milo, które wspierać będzie grupa małych przebiśniegów. Wszyscy sportowcy będą odbierać swoje medale w najbardziej reprezentacyjnym miejscu w Mediolanie, na Piazza del Duomo, czyli placu Katedralnym.

Żadnemu miłośnikowi sportów zimowych, Cortiny d'Ampezzo przedstawiać nie trzeba. Od lat uznawana jest za jeden z najbardziej luksusowych ośrodków narciarskich, nie tylko we Włoszech. Zresztą, już raz była organizatorem zimowej edycji igrzysk olimpijskich. A rok 1956 był przełomowy dla międzynarodowego ruchu olimpijskiego – otóż po raz pierwszy prowadzono transmisje telewizyjne, które były dostępne w całej Europie Zachodniej dzięki Interwizji.

Żadnemu miłośnikowi sportów zimowych Cortiny d'Ampezzo przedstawiać nie trzeba. To luksusowy ośrodek narciarski

My też mamy miłe wspomnienia z miasteczka w Provincii di Belluno – właśnie prawie 70 lat temu, Polska, w osobie dwuboisty klasycznego Franciszka Groń-Gąsienicy, wywalczyła pierwszy medal olimpijski w sportach zimowych (brąz w zmaganiach indywidualnych).

70 lat temu włoska armia zwoziła... śnieg

Mało kto dzisiaj pamięta, że rywalizacja w Cortinie d'Ampezzo odbywała się w okresie zimnej wojny. I właśnie na tych igrzyskach zimowych zadebiutowała reprezentacja Związku Radzieckiego, która zresztą wygrała klasyfikację medalową (7-3-6) i rozpoczęła dominację w kolejnych olimpijskich turniejach hokejowych (Sborna wygrała w tym czasie siedem – z dziewięciu – edycji, ulegając tylko w 1960 i 1980 roku reprezentacji USA).

Nie obyło się wówczas również bez kłopotów... Brak śniegu na trasach alpejskich spowodował, że transportem białego puchu z gór musiały zająć się włoskie siły zbrojne.

W 2026 roku, po raz pierwszy w historii, zostanie rozdanych aż sześć kompletów medali w skokach narciarskich, które odbędą się na obiektach w Predazzo. ©P

REKLAMA

0011248275

ROK DO IGRZYSK
CZEKAMY NA OLIMPIJSKIE EMOCJE!



SPONSORZY ORAZ PARTNERZY PKOl I OLIMPIJSKIEJ REPREZENTACJI POLSKI



SPORT

www.sportowy24.pl

SIATKÓWKA

W sobotę siatkarze Trefla Gdańsk zmierzą się z celującym w medale Aluronem CMC-em Wartą Zawiercie. Wyjazdowy mecz rozpocznie się o godz. 14.45 i będzie transmitowany przez Polsat Sport 1. Trenerem wicelidera tabeli PlusLigi jest znany w Gdańsku Michał Winiarski, a libero to dobrze wspominany w Treflu Australijczyk Luke Perry. (raf)



FOT. JAKUB STENBORN

KOSZYKÓWKA

Wyjazdowa niedziela. Energa Icon Sea Czarni Słupsk w niedzielę o godz. 12 spróbują zaskoczyć we Włocławku Anwil. O godz. 17.30 AMW Arka Gdynia zagra w Szczecinie z Kingiem. (raf)

Basket nieprzystający do Europy

Rafał Rusiecki

rafal.rusiecki@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Końcowy bilans Trefla Sopot w rozgrywkach Pucharu Europy to jedna wygrana na 18 meczów. Jednocześnie mistrzowie Polski radzą sobie świetnie w Orlenie Baskecie Lidze.

Rozgrywki BKTEuroCup to drugi pod względem ważności poziom Europy, tuż po absolutnie najmocniejszej Turkish Airlines Eurolidze. Bardzo bolesne było więc dla Trefla Sopot zderzenie z nowymi realiami sportowo-organizacyjnymi Starego Kontynentu. O ile, poza jedną wpadką z niedziałającymi zegarami kosзовymi w Ergo Arenie, organizacyjnie klub ten ciężar udźwignął, o tyle wynik sportowy okazał się żałosny. Mistrzom Polski udało się wygrać wyjazdowe spotkanie z BC Wolves Twinsbet Wilno (97:74). W pozostałych 17 meczach schodzili pokonani. Bilans małych punktów to 1354:1522. Dwukrotnie żółto-czarni grali dogrywki w Ergo Arenie - przegrali jednak z niemieckim Ratiopharmem Ulm 93:96, a także z litewskim BC Wolves 92:99. Takich meczów „na styku” było nieco więcej, ale sopocianie płacili frycowe.

Niezadowolający wynik

- Czy nasz wynik oceniam dobrze? Czy wygranie jednego meczu jest dobre? Nie. Z pewnością tak nie jest. Wygranie jednego spotkania nigdy nie jest wystarczające. Uważam



Trefl Sopot zakończył we wtorek udział na fazie grupowej Pucharu Europy



Żan Tabak przekonuje, że polska koszykówka musi grać w Europie, aby się rozwijać

jednak, że to wszystko miało sens, o ile te nabyte w tych rozgrywkach doświadczenia Trefla Sopot wykorzysta w kolejnych sezonach w europejskich pucharach - mówi Żan Tabak, chorwacki trener Trefla.

- Musieliśmy rywalizować z dużo bogatszymi. Nie mieliśmy przy tym doświadczenia jako organizacja na takim poziomie. Nie mieliśmy też tak wielu zawodników z doświadczeniem na tym poziomie. Mu-

sialiśmy natomiast mierzyć się z problemami w trakcie rozgrywek - dodaje były mistrz NBA. Gra Trefla w Pucharze Europy od końcówki września 2024 roku do początku lutego 2025 roku miała różne mo-

menty. Była słaba, ale nie brakowało meczów wyrównanych.

- Kiedy odszedł od nas Tarik Phillip (rozgrywający został wykupiony przez Hapoel Jerozolima 21 listopada 2024 roku - przyp.), mniej więcej w tym samym czasie Geoffrey Groselle był kontuzjowany. Pozyskaliśmy nowych zawodników, dokonaliśmy zmian w składzie. Zajął to około 3-4 tygodnie zanim ci nowi koszykarze wkomponowali się w drużynę i zbudowali odpowiednią formę. Myślę, że to była najtrudniejsza część w trakcie rozgrywek EuroCupu i wtedy nie byliśmy konkurencyjni. Ale w pozostałej części rundy uważam, że nie odstawialiśmy rywalom. Przynajmniej w czterech-pięciu spotkaniach o wyniku decydowały małe detale - tłumaczy Żan Tabak.

Spotkania z czołówką

Znamienne jest to, że będący w składzie Trefla Polacy nie odnaleźli się w rozgrywkach EuroCupu. A mowa o zawodnikach, jak na krajowe warunki, topowych, powoływanych regularnie do reprezentacji Polski.

- Patrząc na ostateczny wynik może nie jest on zadowolający. Chcielibyśmy wygrać więcej meczów. Natomiast jesteśmy bardzo zadowoleni z występów w tak wymagających rozgrywkach. Mieliśmy okazję spotkać się z drużynami z topu europejskiego, może poza Euroligą, gdzie grają najlepsze zespoły. Cieszymy się, że nabrali-

śmy nowego doświadczenia. Myślę, że jako organizacja wiele się nauczyliśmy. Organizator rozgrywek stawiał przed nami bardzo wysokie wymagania, aby to wszystko zorganizować. Myślę, że to na pewno będzie procentować. Wyciągniemy wnioski i sportowo zbudujemy w następnym sezonie zespół, który nawiąże walkę w takim czy innym pucharze europejskim - podsumował Marek Wierzbicki, prezes sopockiego Trefla.

Mizéria naszych ekip

Euroleague Basketball Company zarządza najmocniejszymi rozgrywkami na kontynencie, czyli Turkish Airlines Euroligą oraz BKTEuroCupem. Niżej są rozgrywki FIBA Europe, w których polskim klubom też się nie wiedzie. W trzecich co do ważności rozgrywkach Ligi Mistrzów FIBA King Szczecin (wicemistrz Polski) przegrał wszystkie sześć meczów w swojej grupie. Brązowy medalista Śląsk Wrocław zakończył ten etap w swojej grupie tylko odrobinę lepiej, z bilansem 1-5. Pozytywnej iskierki można szukać dopiero na czwartym poziomie w Europie, jakim są rozgrywki FIBA Europe Cup. Tutaj Anwil Włocławek zajął drugie miejsce w grupie z bilansem 4-2. Lider tabeli ligi polskiej w drugim etapie tych rozgrywek przegrał jednak z kretesem grupę z bilansem 1-5. Stołeczne Dzikie oraz Legia grają w ENBL, ale to liga tylko w północno-wschodniej części Europy. ©©

99 urodziny Gdyni biegacze będą świętować na ulicach w niedzielę

Rafał Rusiecki

rafal.rusiecki@polskapress.pl

BIEGI. Prawie 2,8 tysiąca zawodników stawi się w niedzielę z rana na trasie Biegu Urodzinowego Gdyni z Decathlonem.

Tradycyjnie już Gdyńskie Centrum Sportu zaprasza na ulice miasta w jednym z pierwszych tak dużych biegów w kalendarzowym roku. W lutym w Gdyni jest radośnie z racji urodzin miasta z morza i marzeń. Ten entuzjazm z mieszkańców przechodzi na gości,

którzy chętnie wybierają rywalizację na dystansie 10 km.

W niedzielę o godz. 8 jako pierwsi pojawią się jednak ci, którzy na symbolicznym dystansie 1926 metrów (nawiązującym do roku nadania praw miejskich). Natomiast o godz. 9 zaplanowany jest start biegu głównego i marszu z kijkami (10 km).

Atestowana trasa start oraz metę będzie miała przy ulicy Olimpijskiej na wysokości Gdyńskiego Centrum Sportu. Uczestnicy pobiegą ulicami Łużycką, aleją Zwycięstwa, bulwarem Nadmorskim, Armii

Krajowej, Świętojańską, ponownie aleją Zwycięstwa, a następnie Stryjską, Łużycką i Sportową. Finiszować będą na Olimpijskiej.

Na starcie pojawią się znani biegacze z regionu i nie tylko. Wśród awizowanych zawodników są m.in. Zuzanna Głombiowska, Chrystyna Bohomachowa i Krzysztof Żygenda z Gdyni, Beata Niemyjska z Nowego Dworu Gdańskiego, Patryk Sowiński z Elbląga oraz Andrzej Rogiewicz z Grudziądza.

Większości ich tempa utrzymać się nie uda. Z pomocą

przyjdą więc pacemakerzy. Do każdej strefy organizatorzy wybrali dwóch. Na 40 minut prowadzić będą Tomasz Szczukutowicz i Andrzej Cejrowski, na 45 Grzegorz Kepka i Marcin Kulczyk, na 50 Ewa Kulczyk i Paweł Szulwach, na 55 Artur Michalski i Krzysztof Czarnowski, a na 60 Marek Hudzik i Krzysztof Hudzik.

Odbiór pakietów startowych jest możliwy w sobotę w godz. 14-20 oraz w niedzielę od godz. 7 w Hali Gier GCS-u.

Łącznie do Biegu Urodzinowego Gdyni zapisało się ponad 4 tysiące osób.



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Start i meta Biegu Urodzinowego Gdyni z Decathlonem umiejscowione będą na ul. Olimpijskiej